Świat Kobiecy

ROK X — 15 KWIETNIA 1930 R. — N-R 8



ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA — N-R 8 — ROK X — WARSZAWA — LWÓW — 15 KWIETNIA 1930 ROKU

Z okazji zbliżających się Świąt Wielkanocnych składamy najlepsze życzenia naszym Współpracownikom i Czytelniczkom.

Redakcja

O SNOBIZMIE

POŚRÓD objawów, jakie przynosi z sobą kultura, zwłaszcza urbanistyczna, jedno z bardzo poczestnych (!) miejsc zajmuje snobizm.

„Snobizm — określa Żeromski — w najpowszechniejszem mniemaniu jest to pozowanie na jakiś autorytet, — na owładnięcie pełnią wiedzy o jakiejś dziedzinie życia, — przestrzeganie aż do granic śmieszności umówionych, modnych przepisów dobrego tonu, praw czy przesądów, uznanych za najniewątpliwiej doskonałe i wykwintne przez osobistości miarodajne, stanowiące wzór obowiązujący, bezwzględnie godny naśladowania w danej sferze, czy dziedzinie." Zarazem, cytując Thackeray'a *„The Book of Snobs"*, przypomina Żeromski genezę wyrazu „snob", będącego skrótem *(s. nob.)* prastarej formuły: *sine nobilitate*, jaką od XIII w. w rubrykach uniwersytetu w Cambridge określano „studentów nieurodzonych". Ci to właśnie „łyczkowie," chcąc za wszelką cenę sprostać „paniczom", naśladowali — ze zmiennem szczęściem — sposób ich bycia, podpatrując niestrudzenie ich *modus vivendi* i starając się, z dużą dozą pietyzmu, a z większą jeszcze mimowolnej humorystyki, ten arcywzór odtworzyć.

M a ł p i a r s t w o — oto istota snobizmu.

Snobizm przychodzi do gotowego. Ktoś inny pracą myśli, dowcipem, talentem, genjuszem, doszedł do jakiegoś rezultatu. Ten efekt końcowy, oderwany od całego ogniwa, które nadaje mu wartość genetyczną, chwyta jakiś szaraczek duchowy i jarmarcznym sposobem stroi się w delję karmazyna. Ale taka oto różnica: wzór był jeden, swój, osobny — twórca. Imitatorów jest legjon.

Koronka ręczna i koronka maszynowa.

Oryginał i reprodukcja.

To porównanie wszakże do pewnego stopnia chroma. Przy ciągłem udoskonalaniu maszyn i sposobów reprodukcji, można ją doprowadzić do wielkiej subtelności. Natomiast naśladownictwo w dziedzinie duchowej zawsze trąci tandetą.

Droga najmniejszego wysiłku mści się dotkliwie.

Jest to droga lenistwa i płycizny. Jest to pożywanie owoców ducha, „nie wziąwszy ich trudem i pracą". Jest to ostentacyjne upajanie się pięknem na kredyt. Afiszowanie się zamiłowaniem, którego się nie posiada i do którego się nie dorosło. Śmieszne przechadzanie się w sukni skrojonej na kogo innego. Przebieranie się krawca za Fidjasza. „Pawio-papugizm".

Pamiętam z czasów ukazania się „Wesela", na scenie, natrętne obnoszenie się z Wyspiańskim krakowskich snobów, a zwłaszcza snobinetek. Można było wtedy Wyspiańskiego znienawidzić do cna. On sam oczywiście nic temu nie był winien, że różne gęsi i gąski, zachłystując się z zachwytu, powtarzały sobie „upojonym" szeptem: „Bedziemy se fijołecki smykać — specjalnie to: fijołecki smykać..."

Istnieje wszakże jeden gatunek snobizmu (a gatunków jest wiele, tyle niemal, ile przedmiotów snobizmu) szczególnie obrzydliwy. To snobizm międzyliteracki. Jest to autosuggestja firmą literacką. Paradowanie drobnego narybku literackiego, w orszaku grubych ryb, ekonomskie jaśnie panu czapkowanie — stanowi jeszcze objaw niezbyt szkodliwy, jakkolwiek nastręcza widok mało orzeźwiający. Znacznie już gorzej dzieje się, gdy firmą suggestjonuje się krytyka. Dzieło, wynoszone przez nią pod niebiosy, spadłoby często na dno otchłani, gdyby zamiast znanej i uznanej firmy widniało nad nagłówkiem nieznane nazwisko.

Snobizm jest o w c z y m p ę d e m, gromadnym czy gromadzkim pochodem szczurów za łowcą z Hameln. Jeden myśli i czuje, jeden j e s t, jest sobą, odkrywcą nowego piękna, poszukiwaczem nowych dróg — inni to smętne odbitki, biedne manekiny, wypchane trociną, powtarzające w mozole znak zewnętrzny, bez prymitywnej nawet znajomości treści.

Snobizm jest t c h ó r z o s t w e m, które w chórze krzyczy, rozwierając usta do jednakiego dla wszystkich grymasu. Nie stać go na wyraz własny, na odrębne od gromady pomyślenie o rzeczy, na wyjawienie tej myśli wszem wobec, choćby się wszem wobec sprzeciwiała. „Prawdę swą należy mówić głośno — powiada Żeromski — nie schlebiając ani — żal się Boże! — gwelfom i gibelinom polskim, ani rzeczom, ani wypadkom, ani stosunkom, ani idejom."

Ale snobizm nie ma s w e j prawdy. Wszystko ma pożyczane. Ogląda się na prawo i na lewo, jak kto patrzy (ten oczywiście ktoś decydujący...), jak się uśmiecha, kiedy i jak się krzywi. Snobizm schlebia prowodyrom choćby jednodniowym, z wprawą lokaja odmienia liberję. Snobizm wali brawo na byle widowisku, jeśli psim swym węchem zwęszył, że to widowisko, z przyczyn zgoła mu nieznanych i wcale go nie interesujących, może stać się modą dnia.

M o d a — oto przykazanie snobizmu. To piękne, co

„wzięte", to dobre, co rozchwytywane przez wszystkich. Absurdalne — ale ogólnie przyjęte. Głupie, ale powszechnie uznawane. Modnisia troszczy się o to, co się nosi: jaki kolor jest modny, jakie brwi, jakie włosy... (Podobno nawet paznokcie zmienia się kilka razy na dzień, zależnie od koloru sukni...) Postara się o to wszystko, choćby wyglądała w tem jak maszkara. Przypomina to bohaterskie wysiłki chłopaczków, porających się wbrew elementarnej przyjemności, z wypaleniem pierwszego papierosa.

Przypomina to również nowelkę o mieszkańcach pewnej górskiej wioski, obdarzonych przez matkę przyrodę wolem, między których to mieszkańców zawędrował przybysz pozbawiony tego ornamentu. Stał się pośmiewiskiem wsi. W owem ustroniu był snobizm na punkcie — wola.

Może też istnieje gdzieś snobizm na długie uszy...

Jeżeli z jednej strony snobizm jest braniem życia po łebkach, jako najłatwiejszem, to z drugiej djablo to życie utrudnia. Niepodobna bowiem wymyślić coś bardziej nużącego, niż przymus ustawicznego wykręcania głowy na wsze strony w celach imitacji, tudzież przymus chodzenia w tem cudzem chomącie, choćby na szyi wynalazcy wyglądało na hiszpańską kryzę, „mającą w sobie coś z wspaniałej tęczy".

Zdaje się, że na snobizm niema ratunku. Jest on tak wieczny jak głupstwo i jak ono — nie może umierać.

LYNX

NA MARGINESIE SPORU O „PIEKŁO KOBIET"

WYDANA przed niedawnym czasem książka Boya p. t. „Piekło kobiet", wywołała żywy oddźwięk w społeczeństwie. Poruszane w niej zagadnienie (usunięcie lub nie, par. 141 i 142 z opracowywanego obecnie nowego kodeksu praw) — pociągnęło za sobą liczne ankiety oraz szereg zdań wybitnych osób ze świata prawniczego i lekarskiego. Dziś, gdy wrzawa wywołana tą sprawą przycichła, nasuwają się na temat owej dyskusji pewne refleksje.

Bezwątpienia, książka Boya była czynem potrzebnym i pożytecznym. Oddawna już nikt nie poruszył tak dosadnie a zarazem rzeczowo, tych spraw straszliwych, zmuszając najobojętniejszych do zastanowienia się. Wprawdzie toż samo środowisko Piekła ludzkiego odmalował Kaden Bandrowski w „Czarnych Skrzydłach", — lecz większość pogodnych dojutrków wolała przyjąć jego pracę nie za groźne oskarżenie socjalne, ale jedynie jako wspaniałe dzieło sztuki, niezgodne z rzeczywistą prawdą.

Lecz fakty cytowane przez Boya nie są sztuką ani fantazją literacką, a stwierdzone w nich warunki ludzkich bytowań są w swym rozpaczliwym cynizmie gorsze jeszcze niż opisywane w „Lenorze".

Czy skłoniło to do namysłu tych, co uparcie dowodzą, że obecny ustrój społeczny jest dobry, ponieważ oni zajmują w nim dobre miejsca? Czy otworzyło im oczy na potworność naszych stosunków, praw, obyczajów, instytucji, prowadzących całą naszą rzekomą cywilizację do nieuchronnego kataklizmu, szybciej może nawet, niż to sobie wyobrażają Sowiety?

Nie wiadomo.

Narazie, uderzającą cechą wspomnianej dyskusji była żałosna bezradność wszystkich zabierających w niej głos. Stojąc wobec sytuacji ich zdaniem bez wyjścia, dreptali w miejscu, chyląc się kompromisowo w tę, to w tę stronę. Ogromna większość zgadzała się z Boyem, uznając jako jedyny środek przeciw złu, zmniejszenie liczby urodzin, przez uprawnienie matek do ograniczania swego potomstwa. Nie wiem, czy wypowiadając ten osąd, zdawali sobie sprawę, z tragizmu tego mimowolnego wyznania, że nie czują się na siłach zmienić warunki życia do tyla, by matki mogły rodzić i wychowywać zdrowe szczęśliwe dzieci? Polityka zmniejszania urodzin ma w sobie coś zasadniczo negatywnego, schyłkowego, coś z nastroju rozbitków, co wyrzuceni na bezludną wyspę rachują zapasy i mordują słabszych, aby na dłużej starczyło dla reszty.

Cóż stąd, że wśród tych nienarodzonych dzieci, skazanych na śmierć przez litość, — znalazłoby się, gdyby im dać odpowiednie warunki wychowania, — wiele ludzi dzielnych, twórczych, może genjalnych, może świętych? Cóż stąd? Skoro tych warunków niema, skoro dzieci te i tak zgniją w nędzy, lub wyrosną na komunistów i podpalaczy, — lepiej niechaj nie rodzą się wcale. Tak nakazuje współczucie i prosty instynkt samozachowawczy narodu.

Drugim charakterystycznym objawem wywołanej przez Boya dyskusji było ciężko-materjalistyczne stanowisko zajęte przez wszystkich prawie dysputantów. Chrześcijańska etyka, chrześcijański punkt widzenia, względy religijne, były z niej wyeliminowane tak dokładnie, iż przysiąc mogłeś, że cała rozprawa toczy się w społeczeństwie zdawna bezwyznaniowem, przy którem nazwa „katolickie" pozostała jako pusta forma bez właściwego znaczenia. Bodaj, że w tem właśnie leżała zasadnicza przyczyna bezradnej jałowości dyskusji. Skoro bowiem toczący ją nie byli istotnymi czynnymi chrześcijanami, — zbrakło im dwóch podstawowych czynników, zdolnych jedynie rozplątać fatalne zagadnienie: szacunku przed tajemnicą narodzin, której gwałcić nie wolno, równie jak nie wolno zabijać, — czynnej, twórczej i radosnej miłości bliźniego, tej, co nie mówi: niech ono się lepiej nie rodzi, — lecz: jemu musi być dobrze, — i nie cofa się przed żadnemi ofiarami by to wykonać.

Ale gdzie znaleźć dziś chrześcijan?

Wśród szerokich rzesz tych wszystkich, którzy noszą to miano tylko dlatego, że ich w dzieciństwie ochrzczono, wśród „praktykujących" dewotów samolubów, wśród fetyszystów wierzących wyłącznie w ten lub ów medalik-amulet, — jaki znajdziemy odsetek prawdziwych wyznawców Chrystusa? Lepiej nie rachować. Ci nieliczni którzy są, widni są zdaleka. Łatwo ich poznać. Choć z reguły skromni, nie zwracający na siebie uwagi, znaczni są swojemi dziełami. Zjawia się bowiem od czasu do czasu ubogi, samotny człowiek, bez stosunków, bez pieniędzy, — (w dzisiejszych czasach gdy pieniądz jest wszystkiem!) — i niby za przyczyną potęg niebieskich, wznosi dzieła miłosierdzia olbrzymie, zastanawiające, trwałe, np. Miejsce Piastowe, lub Zakłady Dzięgielowskie. Siłę ich ramienia zwalczającą wszelkie przeszkody stanowi rzeczywista, czynna, miłość bliźniego, owa „wiara z uczynków", jak ją określa św. Jakób. Patrząc na to, czego dokonać może ożywiona nią jednostka, mimowoli nasuwa się myśl, jak wyglądałby, jakim byłby świat, gdybyśmy wszyscy byli chrześcijanami, — gdyby bodaj połowa z nas. — Połowa?! — O Boże! Gdybyż na stu Kostryniów, był choć jeden Ojciec Beyzym, lub brat Albert!!

Ale oni są jeden na miljon, a ogół stając wobec najstraszliwszej nędzy, nie umie zdobyć się na nic innego, jak na danie zgłodniałym matkom prawa do niszczenia własnego potomstwa. —

— — — — — — — — — — — — —

Do czegoż my idziemy?!

ZOFJA KOSSAK SZCZUCKA

PRZYJACIÓŁKA RADOŚCI I DOBRYCH LUDZI

JUŻ dawno wszyscy pili herbatę na przyjęciu w konsulacie polskim w Bratysławie, gdy weszła pani bardzo piękna, o profilu klasycznym, o oczach niebieskich jak jeziora.

Wszyscy właśnie na nią czekali. Całe towarzystwo jakgdyby nagle pojaśniało. Zrobiło się żywiej, głośniej, jakoś cieplej i serdeczniej.

Taki nastrój niepowszedni wniosła Hana Gregorowa, pisarka słowacka, laureatka nagrody państwowej w roku 1929 za książkę o kobiecie słowackiej, która to książka wiele narobiła hałasu i szumu, której wiele poświęcono dysput i recenzyj, świętego oburzenia i pochwał, nagan, zachwytów i rozstrząsań namiętnych.

Książka ta ma tytuł prosty: „Kobiety".

Hana Gregorowa zaczęła ze mną rozmawiać, jakbyśmy się już znały oddawna. Właśnie wróciła ze wsi, z wakacyj — opalona, rozradowana. Trzeba tu użyć wytartego porównania, że jej śmiech dzwonił jak kryształ.

Już po paru zdaniach pomyślałam: co za entuzjastka życia!

A potem: musi być przyjaciółką radości i dobrych ludzi.

A ona mówiła słowa proste. Jaki las jest zielony. Jaka woda czysta. I jakie życie na wsi w lecie jest dobre i pożyteczne. Jak dobrze mieć córeczkę: kilkunastoletnią Daszenkę, z którą można śpiewać w lesie, kąpać się razem i śmiać się na cały głos, a czasami ze szczęścia poprostu — płakać. To jest właśnie życie bogate i pełne. Czegóż trzeba więcej. Jakże nie umiemy być ludźmi bogatymi i pełnymi.



HANA GREGOROWA Z CÓRECZKĄ DASZENKĄ

I mnie, kobietę widzianą po raz pierwszy, obejmowała za obie ręce, jakgdyby słowa nic właściwie nie powiedziały, jakby koniecznie trzeba coś dopowiedzieć uściskiem. A także uśmiechem.

Tyle było zapału, entuzjazmu i radości życia w tych słowach melodyjnych, zrywających się jak tony z jakiegoś pierwszy raz słyszanego instrumentu, że zdawało mi się iż są to słowa młodej dziewczyny, która nic jeszcze nie wie o gorzkich ścieżkach życia, rozczarowaniach cierpkich i klęskach nieuchronnych. I trzeba było dopiero popatrzeć bliżej — aby zobaczyć wśród złoto-popielatych włosów siwe niteczki i leciutko zarysowane, prawie jeszcze niewidoczne ale już istniejące kreski pod oczyma.

Więc te słowa o życiu — mówi pełna, dojrzała kobieta. Z tem większą słuchałam ciekawością.

Ile razy spotkałam ją potem — zawsze była taka sama. Zawsze witała mnie tym promiennym uśmiechem młodej dziewczyny, która przez otwarte okno zaczyna dopiero patrzeć na życie.

Trzeba naprawdę dużo mądrej pogody i radosnego skupienia się, aby wyrobić sobie ten czysty, pełen przedziwnej harmonji stosunek wewnętrzny do wszystkiego co przychodzi z zewnątrz, do całego świata zjawisk, zagadnień, faktów. A ileż jest w tym jej całym rytmie harmonijnym — prostoty i niezależności życiowej, ile odwagi i uśmiechniętej mądrości.

Taka jest Hana Gregorowa, pisarka słowacka, żona znakomitego prozaika i dramaturga Gregora-Tajowskiego. I takie są jej książki. Zyskała miano nietylko w kraju ale i za granicą „bojowniczki o prawa kobiety". O jakież to prawa w swoich „Kobietach" walczyła? Właśnie o prawo do niezależności kobiecej, nie tej zewnętrznej, którą dają obejmowane stanowiska, współzawodnictwo z mężczyzną na każdem polu, prawo zajmowania wysokich urzędów, ale o niezależność wewnętrzną kobiety. Niechże już przestanie czerpać soki twórcze, witalne z obcowania z mężczyzną, niech się o jego życie intelektualne, duchowe nie owija jak bluszczyk, który mężczyzna czasami w zdenerwowaniu wyrwie z korzeniami i odrzuci a czasami łaskawie pozwoli mu gdzieś tam w cieniu piąć się skromnie w górę — niech sobie wyrobi swój własny, wewnętrzny świat pogody, dojrzałości, bogactwa, pełni i rozkwitu. Ale tego kobietom nikt nie podaruje, nad tem trzeba popracować, to trzeba sobie zdobyć bez pomocy męskiej, bo mężczyzna w tych sprawach niezbyt chętnie pomaga.

Niektórzy zbyt namiętnie zarzucali Hanie Gregorowej, że bez dyskrecji należnej omawia w swej książce drażliwe problemy erotyczne. Byli tacy, którzy się książką serdecznie gorszyli. A Hana Gregorowa śmiało, bez pruderji, z niezależnością wewnętrzną na forum literatury słowackiej wywiodła te problemy. Szukała miejsca dla miłości kobiety, dla jej zmysłów, na które wszyscy zarzucali firaneczkę dyskrecji albo oburzenia świętego, ale zawsze gdzieś z boku przez jakieś niedomknięcia i szpary lubili na to popatrzeć. Hana Gregorowa zdarła firaneczkę dyskrecji, niedomówień i pogodnem spojrzeniem poszukała wokoło miejsca dla miłości kobiety. Tej miłości nieskrępowanej prawami i więzami. Poszukała śmiało, otwarcie, bez wstydu — miejsca dla zmysłów kobiety. Aby tej miłości było pogodnie, radośnie, aby się stała siłą twórczą a nie przyczyną porażek, rozczarowań i zwichnięć życiowych. Książkę uznano za nazbyt śmiałą, nazbyt rewolucyjną i namiętną, stąd tyle dysput, oburzenia, nieporozumień.

Trzeba pamiętać, że książka Hany Gregorowej: „Kobiety" wyszła jeszcze przed wojną. a więc w tych czasach kiedy intelekt kobiety słowackiej stał na szczeblu o wiele niższym. Kiedy kobieta nie odważyła się wejść ani sama, ani w towarzystwie mężczyzny do kawiarni lub do... teatru. Kiedy jej całym terenem działania, myśli i planów był jedynie dom. Dzisiaj książka Gregorowej mniej narobiłaby szumu, ale fakt, że autorka wystąpiła z temi problemami w czasach tak... surowych, należy na jej karcie literackiej wpisać do rubryki plus.

W „Moim świecie" jest również dużo problemów poruszanych jakby odniechcenia, gdzieś między wierszami, ale już ostrożniej, wstrzemięźliwiej.

W licznych artykułach społecznych przebija się niezależność pisarki, odwaga w stawianiu pytań i jeszcze większa w odpowiedziach na nie, samorzutność i przenikliwość, nieliczenie się z żadnemi względami, absolutny brak kompromisu i sumienie czyste, spokojne, z którem autorka „Kobiet" jest zawsze w zgodzie. KAZIMIERA ALBERTI

NOŻE

I

Jest nóż, który nie znosi słońca i jasnego dnia,
nienawiści i zemsty jadem wyostrzony,
nóż krótki, ale ostry, przeklęty, szalony,
nóż co z dziką rozkoszą wbija się do trzew,
wypija siły,
przecina żywe ścięgna, nerwy, żyły
i głodny ssie i głodny chłepce krew.

To nóż, co zimno, pewnie, głęboko
[się wwierca
w struchlałe człowieka serce.

To nóż z którego plam nie zetrze
ani glina, ani wilgotne powietrze,
ani deszcz, ani woda czysta bijąca
[pod lasem,
ani śnieg, ani popiół, ani złocisty
[piasek,
którego parę garści zdrajca przy-
[niesie z wybrzeża;

nie znikną krwawe ślady —
choćby nóż dnie i noce na deszczu
[ulewnym leżał,
choćby go stłukły twarde jak orze-
[chy grady,
choćby go zbrodniarz czyścił kredą
[poświęcaną,
choćby go wbił w mrowisko, gdy
[nikt go nie śledzi rano,
choćby go kąpał o świcie w stawie,
choćby krew ścierał kwiatami,
[w wysokiej trawie;



KAZIMIERA ALBERTI
Portret St. Ig. Witkiewicza

choćby trzy dni —
gotował go w chmielu i jaskółczem
[zielu,
w cierpkich osłodach i wilczojagodach,
w szczawiowych języczkach, w kwaśnych kokoryczkach —
nie zmyje z niego krwi.

II

Jest nóż w świtowych, płowych rosach wykąpany,
na którym się odbija grot słońca różany;

oblepiony cierniami, listeczkami,
lepkiej, pachnącej ziemi grudkami.

A chociaż wiem, że jest to pożyteczny nóż —
bo wykopuje dołki dla młodych sadzonek,
usuwa głuche chwasty z pośród krzewów róż,
mądrze nacina miejsca na ciele dziczek - jabłonek,
by się przyjęły szlachetne gałązki zaszczepione;

choć wiem, że wiosną, wśród wietrznych szelestów —
równa szpalery trzmieliny, agrestu,
poważnie pośród żywopłotów wąskich —
zeschnięte obcina gałązki,
usuwa chorych kwiatów rzędy całe —
aby tym zdrowym soków nie spijały;

a choć wiem dobrze, że czasem uśmierca —
w grabowej aleji zielone serca,
poto by inne w górę strzelały;

i choć wiem, że toruje drogę pędom zbitym,
że zawsze czyni dobro, piękno i pożytek —
to jednak czasem czegoś trwożę się i lękam,
uważam, wypatruję, pośród trawy klękam —
czy kiedyś nieostrożnie nie przetnie
[robaka,
lub nie skaleczy w główkę rogową
[pędraka;

czy nie uśmierci pasikonika —
co przysiadł na liściu i cyka;

czy nie zabije złotego owada,
co gdzieś przy ziemi wciąż mruczy
[i gada;

czy kędyś w trawy ciepłej i wyso-
[kiej szumie —
pisklęcia nie przeszyje,
które z gniazda wypadło, ruszać się
[nie umie,

lecz żyje! ludzie — żyje!

czy blisko się nie skrywa gąsienica
[jaka,
czy ostrym końcem nie dotknie śli-
[maka,
który w tej chwili —
z domku się swego wychylił
i różkami małemi, ciepłemi —
światu całemu kłaniał się ser-
[decznie;

czy nie dźgnie kreta, który w ziemi śpi bezpiecznie;

czy czegoś, co oddycha, żyje — nie zabije,
nie skaleczy, nie zrani, albo nie zakole —

bo to boli.

III

Jest śmiały i pogodny, krwią nigdy się nie zwalał,
zdradą się nie poplamił, zbrodnią się nie pokalał;

ze wszystkich noży lśni się najjaśniej, najsilniej,
kraje dostojnie, poważnie i pilnie,
kraje ze wszystkich najrówniej, najładniej,
a jeśli czasem na stół upadnie —
to dźwięknie czysto, jak po rosie dzwon,
u bogatych ma srebrny, u biednych drewniany trzon.

A jeśli kiedy zasępi się, stępi,
srebrzystą gładkość zatraci krajem —
to się go do ostrzenia najszybciej z wszystkich daje —

nóż co nie dźga — lecz żegna krzyżem, nóż co chleb kraje.

KAZIMIERA ALBERTI

SZCZĘŚLIWY RYWAL

Oczywista, wszyscy Państwo znacie „Czarodziejskie Miasto" Aurelji Wyleżyńskiej? Zachwycaliście się jego mgłami i jego kotami, smakowaliście czar starego Paryża, autorskiemi oczyma widzieliście poetyczne mosty, zawierzyliście na słowo iż piękniejszego nad autentyczny serwis księcia de Berry na świecie serwisu niema, odbywaliście wycieczki w świetle i bez światła, różne boity, na próg których ona tylko wstąpiła, waszą bujną wyobraźnią poznaliście do najdalszych tajemnic.

Jak ona, unosiliście pantofelki ze skóry wężowej i białe getry wysoko ponad brud stołeczny, to też w pamięci waszej ville lumière pozostało owiane czarem rzeczy ubiegłych, utkane z płatków róż, koronek przezroczystości, szeleszczące jedwabiem i pyłkami pudru osypane. Miasto bez zagadnień społecznych ani ekonomicznych przewrotów, miasto cierpiące jedynie bólem kobiecego serca, co kocha i tęsknotą, jak szalem, się owinąwszy zabezpieczyć się potrafi od codziennego zimna.

Dowiaduję się iż dnia 20 lutego otwarta ma być wystawa Jana Czermańskiego — podobno obrazki Paryża.

Możecie sobie Państwo wyobrazić uśmiech niedowierzania na moich ustach, gdym przechodziła przez elegancką ulicę Faubourg daint Honoré, wiodącą do Galerie Charpentier. Co też on wiSział? Co pokazał? Czy zna eleganckiego pana z Figarem w ręku, czy karmił ducha swego bogactwem przeszłości, czy po ogrodach spacerował i posągów przeżycia badał?

Nie, zaiste nie! Pan Czermański jest wielbicielem Paryża, lecz wcale nie tamtych quartiers. Nie pałace wiekowe mu się podo-



bają, o okiennicach zawsze zamkniętych, bo mieszkańcy ich przebywają na Południu, ale dochodowe domy z czerwonej cegły, o oknach na oścież otwartych przez które widać anemiczne wazoniki. Nie auta maluje, toczące się na wyścigi, ale każdemu dostępny autobus H, nie damy, które kupują kwiaty, lecz przekupki które handlują kwiatami — po franku wiązanka — nie urocze samotnice rozniecające ogień na kominku, i sypiące nań pachnidłami zaprawione zioła, ale węglami naładowany wóz firmy Bernot, który całą kamienicę ogrzeje, — jeśli go ten cherlawy koń do celu dowiezie.

Pan Czermański chlubi się — jeszcze nie wiedząc — że rząd francuski go zakupi — obrazem „Jatka końska". Na honorowem miejscu go zawiesił i na pierwszej stronie w katalogu umieścił. Gdy każda dobrze wychowana bohaterka zdaleka jatkę taką obchodzi. żeby przypadkiem oczy jej nie spoczęły na krzywych nogach rzeźnika, który dumnie przed „zakładem" swoim stoi. Całe szczęście iż spuszczona już stora nie pozwala wgłąb zajrzeć. Ale jest południe i wszystkie befsztyki wykupione, przez ludzi biednych, jako najtańsze i najpożywniejsze, przez ludzi bogatych jako najzdrowsze i najłatwiej strawne. Policjant Aurelji Wyleżyńskiej jest czarodziejem, trzymającym w ręku magiczną laseczkę, policjant pana Czermańskiego to zapewne dobry i zacny człowiek, ale nie obdarzony żadną wyższą mocą. Paryż Aurelji Wyleżyńskiej kokietuje wszystkiemi kolorami świateł, Paryż pana Czermańskiego zadawala się zwykłemi gazowemi latarniami i mówi iż z tem też mu do twarzy...

Pewno nie ma racji...

Najbardziej niespodziane jest to, iż ma zupełną rację..

Nie wiem dlaczego wychodząc ze sali poczułam nagle że właśnie — tak ma być. A co gorsza publiczność jest za nim, nie za



nią... Paryż dzisiejszy i Paryż demokratyczny więcej posiada siły i malowniczości, aniżeli Paryż arystokratyczny, półtonowy i nastrojowy... Stara zalotnico, Lutecjo kochana, daj już raz pokój, nie strój się w piórka Ludwików, w blaski dolarów, w melancholję



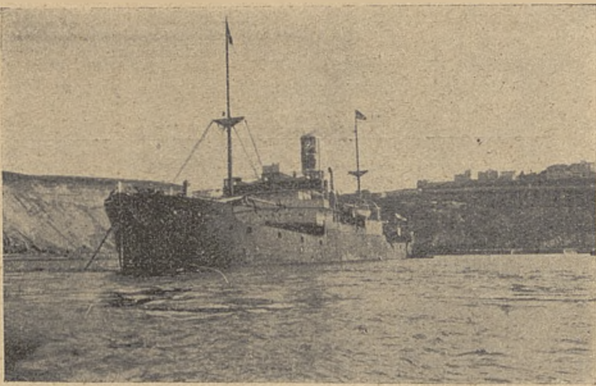
zapomnianych dziś uczuć. Nic ci to nie pomoże, tuż obok ciebie wyrasta inne miasto, bez blagi przeszłości, biedniejsze a może i brzydsze ale prawdziwsze — i wyrazistsze.

To Pan je podpatrzyłeś, to pan je oddałeś, ołówkiem, dwoma, trzema kolorami, białą, na białym papierze plamą.

Szczęśliwy rywalu autorki „Czarodziejskiego Miasta"!

MALIBRAN (Paryż)

REJS GDYNIA - CASABLANCA



„Niemen” leży w Oranie w porcie

KILKA SŁÓW O TEM, JAK MAŁO ZNAMY MORZE. — WŚRÓD SZTORMÓW I SZKWAŁÓW. — OD CAP FINISTERRE CAŁY ŚWIAT BŁĘKITNIEJE. — JAK PRZEDSTAWI SIĘ W OCZACH MARYNARZA NEAPOL? — STAROŻYTNE HADRUMETUM: SOUSSE! — CASABLANCA JEST SIOSTRZYCĄ GDYNI. — PAMIĘTAJMY ZAWSZE O PROPAGANDZIE IDEI POLSKIEGO MORZA...

WIADOMO powszechnie wszystkim, że węgiel służy do opału, tytoń do palenia, fosfat do przetworów nawozów sztucznych, a trawa morska do wyścielania krzeseł, poduszek i materaców. To prawda, ogólnie znana wszystkim, od zapobiegliwej gospodyni i kucharki a skończywszy na tapicerze, może wielce przyczynić się do propagandy morza polskiego, byleby tylko każdy dobrze się zastanowił w głębi ducha nad tem, że węgiel wywozimy do Włoch a resztę przywozimy z portów Morza Śródziemnego i to dzięki statkom polskim i stosunkom handlowym, jakie zawiązała „Żegluga Polska” ze światem odkąd Gdynia stała się wspaniałym portem i oknem, sięgającem na dalekie morza i odległe ziemie. Takie zainteresowanie się — przez handel — flotą polską, życiem i pracą marynarzy jest doprawdy pożyteczniejsze od frazeologicznych zachwytów nad żywiołem morskim, tem bardziej, że wielu jeszcze ludzi w Polsce nie zdaje sobie rzetelnej sprawy z handlowych korzyści morskich, a zainteresowania dla morza streszczają się często w zgoła innych zapatrywaniach:

— Ach, jakże morze jest cudowne! — mówią corocznie piękne letniczki na Helu podczas gdy burza pozrywała właśnie rybakom sieci.

— Czy marynarze cierpią na chorobę morską? — oto uprzywilejowane na ziemi pytanie podczas gdy na morzu, oficer pokładowy, przywykły do sztormów i szkwałów, zajęty jest wręcz czemś innem, — oblicza na mapie nawigacyjnej pozycję statku, sternik pora się ze sterem, załoga krząta się przy logu, linach, windach lub opukuje młotkiem z pokładu wieczną rdzę, — a jeśli ktoś wśród tych ludzi cierpi, jak człowiek, to chyba dlatego jednego, że od szeregu miesięcy, tłukąc się po „oceanach” nie widział matki lub rodzinnego domu.

Często taki marynarz słyszy śmieszne powiedzonka:



Typy naszych „wilków morskich” z s/s „Niemna”. Inż. Karpejeryk i oficer maszynowy Kowalewski Sławomir

— Ilu stylami umie pan pływać?... O, pewno dziesięcioma naraz! Albo:

— E, pański statek nie jet wcale wielki bo ma tylko jeden komin!....

Lub:

— Czy pan tańczy dobrze matlota?

Natomiast nikt z pytających w ten sposób nie pomyśli, że sztuka pływania nie ma żadnego znaczenia ni obrony wrazie rozbicia się statku na pełnem a wzburzonem morzu, że ważniejszą rzeczą od kominów jest tonaż t. zn. pojemność statku, sprawność i szybkość jego maszyn lub — że marynarz na morzu, pełniąc codnia ciężką pracę, często gęsto zawalać się musi, jak nieboskie stworzenie, węglem i smarami w skutek czego nie podobien jest wcale do bohatera kinowego w niebieskim kołnierzyku, czarnej krawatce i wyprasowanych spodniach. Niechby więc raczej każda gospodyni, paląca węgiel w piecu, pomyślała w tej chwili, jak wielkiego znaczenia nabiera ten fakt, że pod polską banderą płyną statki z czarnemi djamentami do Szwecji lub do Włoch, — niechby podobnie pomyślał o imporcie fosfatu rolnik, o trawie morskiej tapicer, a o tytoniu każdy palacz przy każdym papierosie, — a wtedy sprawa propagandy polskiego morza i polskiej żeglugi szybko osiągnęłaby swe cele. Bowiem tak, jak głos na falach eteru przebywa w rzeczywistości zawrotne przestrzenie, a przyzwyczailiśmy się go słyszeć, jakby pochodził z drugiego pokoju, tak samo dalekie drogi morskie przestałyby wkrótce dziwić ludzi gdyby istotą morza, jego znaczeniem i obecnem spożytkowaniem handlowem zainteresowały się najszersze koła społeczeństwa w sposób racjonalny, bez egzaltacji I wtedy, daj Boże, za przykładem Górnego Śląska i Bydgoszczy pomyślałyby szybko inne miasta o ufundowaniu flocie polskiej własnych okrętów..

* * *



S/s „Niemen” w Neapolu odwiedzili młodzi faszyści. W środku stoją of. naw. J. Ćwikliński. za nim radjotelegrafista Stefanowski. Z lewej strony literaci: St. Saliński, za nim J. Stępowski

Tych kilka uwag na wstępie godzi się powiedzieć, myślałem bowiem i ja po swojemu, piórem, o propagandzie morza, gdy w pierwszych dniach listopada ubiegłego roku wybrałem się wraz z Stanisławem Salińskim, autorem „Opowieści Morskich” do Neapolu. Narazie tam, — potem dalej! Te pięć miesięcy włóczęgi cudownej po „oceanach” oddajmy jednak chwilowo obłokom, niech martwi się tem lub cieszy jakiś wydawca powieści, — wspomnę tu raczej pokrótce o kilku przeżyciach z podróży, aby przejechać się powtórnie — choćby w myślach — bajecznym rejsem z Gdyni przez Neapol do Casablanki już nie samemu lecz wraz z „Czytelnikiem dla wrażeń”.

Wyjechaliśmy statkiem towarowym „Niemnem”, który wiózł właśnie do Włoch 4.643 tonn węgla. „Niemen”.. „Niemen” to wcale nie byle co, to jeden z najnowszych statków Państwowego Przedsiębiorstwa „Żegluga Polska”, kolos żelazny, angielski szyk, słowem „szipszif”, pierwsza klasa!... Miłego tego Goljata morskiego należy ocenić według pojemności 5.100 t, jak „pana po cholewach”!...

Jakże inaczej przedstawia się wogóle życie na morzu! Wartość jego polega nie tyle na potężnej symfonji żywiołów, na tematach malarskich i przygodach powieściowych ile na wewnętrznym spokoju ducha, bo proszę pomyśleć, nikt tam nie uprawia plotek i interesów kawiarnianych, nie troszczy się o dobro przyjaciół i wrogów, ani też nie kłopocze się wcale „skądby tu wytrzasnąć pieniądze na dzisiejszy wieczór”... Dzień za dniem płynie, jak statek, zaklęty w zdrowy, zwykły tryb czynności. Zegarem jest dzwonek ręczny, wybijający jednak najpunktualniej godziny, a wiadomości meteorologiczne z kajuty radjotelegrafisty zastępują całą prasę świata. Zdawałoby się, że ten żywot spokojny, jak u Pana Boga za piecem nie potrafi zakłócić nic, a jednak świat już jest taki, że jak to mówią: „nie kijem go to pałką”... zawsze coś się przydarzy. I na morzu jest zima!

„Niemen” ruszył w podróż na Morze Śródziemne w czasie najgorszych burz znanych w listopadzie z dzienników, donoszących raz po raz o licznych awarjach i zatonięciach statków. Ledwie wydostaliśmy się z Bałtyku weszliśmy w strefę mgły i szkwałów (t. zn. silnych wiatrów, mierzonych do 11 stopni). Deszcz siąpił w Kanale Kilońskim, który przebyliśmy w pół dnia od Holtenau do Brunsbüttel zanim wpłynęliśmy w krainę cieni, czarnych, ciężkich fal i opętanego tańca, — na Morze Północne, znane z tylu podwodnych cmentarzysk. Huczał nordwestowy wiatr w olinowaniu, a ołowiane zwały wód przewalały się z łomotem przez po-

kład gdy minęliśmy w okolicy ławic Terschellingu grób s s „Wisły” (statek T-wa „Sarmacja”), która tu uległa rozbiciu w 1926 r., przyczem zatonął st. of. por. Dunin Marcinkiewicz. Dopiero w Kanale La Manche ukazał jednak żywioł morski swą właściwą, potężną władzę. Wiatr sięgnął do 11 stopni. „Niemen” wparł się dziobem w spiętrzone po maszty skiby fal, kołysał się trzeszczał, jęczał i cofał, smagany wodogrzmotami a jednak, walcząc przez trzy dni z naporem szalonego orkanu, szedł ciągle naprzód dzielnie, choćby pół mili na godzinę, zdobywając z cudownym wysiłkiem każdą piędź potopowej puszczy, jak drwal nieustępliwy. Pamiętam, jak z radjotelegrafistą Stefanowskim, rzucani przez gwałtowne kołysania statku od ściany do ściany, słuchaliśmy wtedy przy aparatach w kabinie radjotelegraficznej depesz S. O S. — „Ratujcie nasze dusze”! — nadawanych gdzieś z pod Le Hawru. Przeszło wrażenie upiorne, trudne do wysłowienia tu w zaciszu uszu i spokoju oczu.

Tak zostały za „Niemnem” postrzępione wybrzeża Bretanji, mrugające w mroku latarnie D'Ouessant i Creas'h Point, wyspy Guernessey i Yersey, upamiętnione w powieści W. Hugo „Pracownicy morza” i St. Malo, opisane w powieści Farrerea. Od Bretanji do pierwszego przylądka Hiszpanji, Cap Finisterre, towarzyszyły podróży prócz burzy te dwie jeszcze osobliwe emocje, że płynęliśmy Atlantykiem w poprzek Zatoki Biskajskiej w odległości 350 mil od najbliższego brzegu Francji i, że pod „Niemnem” rozścielała się tymczasem głębia dochodząca do 5.000 metrów. Średnia przyjemność! Lecz któżby się z tego powodu martwił? Trzeba tylko dodać, że ten zakątek Atlantyku obfituje w cudowne opowieści morskie, według których, pono, jak dusze pokutujące, tułają się tu w głębinach wód biskajskich — mary flibustjerów i galeony cezarów rzymskich, kaperskie brygi, zatopione kiedyś korsarskie brygantyny, kupieckie barki z wełną i złotem i rozprute działami korwety, — krążą w czarnych odmętach bez słońca jak ślepce, i tłuką się po omacku, niesione podwodnemi prądami z miejsca na miejsce, nie mogąc opaść na dno gdyż pono utrzymują się od wieków w pewnych wysokościach głębiny przez strefę ciśnienia wód. — Lecz jedźmy dalej...

Od Cap Finisterre, przylądka północno-zachodniego Hiszpanji, zmienia się z każdym dniem — świat, słońce, powietrze i kolor morza. Staje się coraz cieplej i błękitniej. Dla wszystkich statków przebywających przez Gibraltarską Cieśninę na Morze Śródziemne pierwszym postojem jest Oran, tu bowiem zatrzymują się one na kilka godzin aby zabunkrować czyli przyjąć ładunek węgla do maszyn poczem wyruszają zaraz w dalszą drogę. I „Niemen” dotknął w ten sposób na kilka godzin brzegów Algerji zanim po dwóch dniach następnych dobił do Neapolu. W ten to mniej więcej sposób cała podróż z Gdyni do Neapolu trwała oło 15 dni, — co jeśli się zważy burzliwy stan morza i przeżeń 3.022 mil, jest wynikiem sprawnym i pomyślnym.

Neapol w oczach polskiego marynarza przedstawiać się musi inaczej niż dla turysty i nie dziw, bo na statek rzuca się zaraz na wstępie 250 obdartusów pół nagich i zasmarowanych. Rzesza ta wyładowuje polski węgiel rękami w małych, słomianych koszyczkach, co w dzisiejszym wieku techniki i wynalazków przypomina czasy króla Ćwioczka. Wyładowanie węgla z „Niemna” trwało zatem 6—7 dni, a czas ten mógł nam po przygodach morskich śmiało pozwolić na miłe zwiedzenie Capri, Pompei, wizytę na Wezuwjuszu i najedzenie się do syta makaronem „spaghetti” w neapolitańskich tawernach przy Santa Lucia, gdzie do dziś dnia zawodzą potomkowie lazaronów piosenki: „O sole mio” lub: „W morzu przegląda się gwiazda srebrzysta”...

Jakże inaczej od Neapolu przedstawia się jednak Sousse w zatoce Hammamet na wybrzeżach Tunisu!... „Niemen” przybył tu z Neapolu po ładunek fosfatu. Francuskie dźwigary portowe uporały się z robotą w ciągu dwóch dni aczkolwiek ładunek fosfatu wynosił 4.000 ton. A szkoda, — Sousse pozostawia bowiem niezatarte wrażenie, bodaj czy nie przyjemniejsze od Neapolu. Styka się tu człowiek współczesny z światem pierwotnym, z tchnieniem prawdziwej Afryki, ocienionej palmami i szczytami meczetów, wyrosłych dziś na szczątkach kultur fenickiej, kartagińskiej i rzymskiej. Często spotykane znaki przydrożne, oznaczające zwykłe pomiary kilometrów, są pozostałościami obelisków i pomników starożytnej sztuki, a ich rzeźbienia i pamiątkowe wartości kwalifikowałyby je do muzeów gdzieindziej, nie tutaj, gdzie tak blisko do Constantin, wielkiego miasta wykopalisk, dorównującego okazałością Pompei.

Samo Sousse to dawne Hadrumetum, założone w dziewiątym wieku przed Chrystuzem przez Fenicjan, później wielkie miasto w epoce kartagińskiej i wojen Hannibala przeciwko Scypionowi. Jeszcze później Cezar Trajan dał temu zakątkowi swego imperjum sławny przydomek: „colonia Ulpia Trajana Augusta frugifera Hadrumetina”, a Justjan nazwał go „Justjanopolis”. Przeszedłszy wreszcie czasy wojen z Arabami, Normandami sycylijskimi i Hiszpanami, Sousse, od 1881 roku dostało się pod okupację Francji i obecnie czyni wrażenie starej, opuszczonej sadyby, którą pozbawiono dawnego znaczenia lub jakiegoś wielkiego, wybielonego wapnem grobowca, wykutego w kamieniu, a pociętego w wąziutkie szczeliny ulic. Wysoki mur, okalający miasto, i, bardzo ciekawa dzielnica arabska z kramami, karawany osłów i wielbłądów burnusy białe i czerwone fezy, nadają mu charakter odrębny od Casablanki. Tu w Sousse, w Tunisie, na każdym kroku spotkać się można z dziką pierwotnością wyznawców Proroka, Sidi Mo-



S/s „Wisła” w Casablance. Opuszczenie szalupy

hammeda, — tam zaś w Casablance, w Marokku, uderza w oczy wysoka kultura Arabów (jak wiadomo twórców algebry i cyfr) opromieniona zbliska wiedzą starożytnego uniwersytetu Karauin (zbudowanego w 808 r. przez Mulaj Idryssa II, potomka Alego, zięcia proroka), wysoki przemysł i rozwój handlu, piękny styl mauretański, architektura, sztuka mozajek, artystyczne rękodzieła, jak kilimy, makaty, dywany, wyroby ze skór kozich „filali”, barwione i wyplatane poduszki, buty, siodła, portfele i torby, wreszcie snycerstwo broni w drzewie i kości słoniowej.

Trzeba wiedzieć, że Casablanca jest sztucznym portem podobnie jak Gdynia i tak samo jak Gdynia wyrosła niby grzyb po deszczu w ciągu kilku lat. Zbudowana niedawno jest ostatnim wyrazem współczesnej techniki francuskiej, posiada wszystkie wspaniałe urządzenia, tak że w krótkim czasie stała się jednym z najważniejszych portów na zachodnich wybrzeżach Afryki.

Do Casablanki przybyłem już w kilka miesięcy potem drugim statkiem „Żeglugi Polskiej” — „Wisłą”, która wiozła z Algerji z miasta Bone ładunek tytoniu do kraju a w Casablance zatrzymała się po ładunek trawy morskiej dla Szczecina i Gdańska. W międzyczasie zwiedziłem Algerję i Marokko, a raczej poznałem wielu Polaków w Legji Cudzoziemskiej, cierpiących w pięcioletniej służbie niewysłowioną tęsknotę, — godzi się więc tu mimochodem zapukać jeszcze raz o pamięć dla nich o książki i gazety.

Reasumując tych kilka rzuconych wrażeń z podróży, jedno przedewszystkiem powiedzieć wypada. Opisując burze na morzu nie chciałem nikogo straszyć lecz wywołać wniosek, — jak godną szacunku i zaufania jest ta ciężka praca polskich marynarzy na polskich statkach gdzie pełnią swój obowiązek sprawnie i dzielnie mimo sztormy i szkwały, — jak dumni być możemy dziś z nowego pokolenia polskich bohaterów morza, złączonych z tradycją i historycznemi postaciami: Scharpingiem, Dickmanem, Arciszewskim czy Steblewskim, — jak wiele korzyści handlowych daje nam okno na świat, Gdynia, skąd bandera polska sięga dzisiaj na najdalsze morza, — i, że droga z takiej Gdyni do Neapolu lub Casablanki stała się niemal również zwykłą i prostoosiągalną, jak droga, — powiedzmy bez zbytniej przesady — z Warszawy do Krakowa lub Poznania. Pomyślmy o tem wszystkiem tem więcej, że statki „Gdynia” i „Gdańsk” co roku w lecie, w okresie



Widok na port w Oranie z góry Santa Cruz. Nad przepaścią modli się Arab z Koranu

ciszy morskiej i wymarzonej pogody, utrzymują komunikację pasażerską z Kopenhagą, Stockholmem, Bornholmem i t. d., — a niema wreszcie takiego, który, choćby w myślach, rozważając rozległe korzyści polskiej żeglugi, nie chciałby przyczynić się do propagandy idei polskiego morza.

JANUSZ STĘPOWSKI

ŚWIĘCONE U BASAŁYKÓW*

„Byłem na Święconem u Basałyków", pod datą 20. kwietnia 1864 roku, zapisał w swym pamiętniku Wrotnowski.

Dnia tego zaspał, więc ubrał się wskok, nawet nie miał czasu lulki przy kominie zaćmić. Śmiałym krokiem przeszedł koło loży portjerki, gdyż w tym kwartale na termin zapłacił komorne. Co się Panu Feliksowi nie często zdarzało.

Wyszedł na Quai de la Tournelle. Sekwana toczyła swe smętne wody. „Mucha" płynęła powoli, choć bez wielkanocnych gości.

Dla wielkiej pluchoty wziął gabryolet remizowy i kazał się wieźć do Polskiej Szkoły. Na Batiniolach czuł się jak w ojczyźnie. Była to przecież Mała Polska — jedna z wielu w Paryżu, w różnych epokach inna, a że stolicą jej była szkoła, tu więc chętnie przenosili się rodzice. W żadnej dzielnicy nie widziało się tyle świałych włosów i tylu niebieskich oczu. Ten i ów mu się kłaniał.

Członek Rady Szkoły Narodowej powitany na progu, chętnie rozdawał dowcipy i wesoło wszedł do sali. Były to już czasy gdy bon vivant Wrotnowski wolał stół jadalny od biurka. Tylko że stół zbyt wiele pokus, trudnych do pokonania, a zgubnych dla zdrowia, przedstawiał. Dlatego też nieraz narzekał na Hotel Lambert:

— O natrętna polska gościnności!

Ale w duchu zazdrościł staremu Księciu jego apetytu i ze zdumieniem patrzył gdy o północy niedoszły król Polski zjadał czubaty talerz bigosu, gęsto zakrapiany kielichem gdańskiej wódki. Biednemu Wrotnowskiemu byle co szkodziło — nawet rosbif u Chagny, nawet jeden i drugi sztof piwa, nawet i ten niedzielny obiad u Byrona w Palais Royal!

Na Batiniolach pokus tak wiele do pokonania nie było, jadło choć obfite i dobrze przyrządzone, wspaniałością i pysznością ani się umywało do Święconego u Księstwa.

Wesołe chłopaki zawijały wszystko co pod rękę popadło. Widok ich nie cieszył jednak Wrotnowskiego. Choć mundurzyki dla nich polskie zaprowadzono, z amarantowemi kołnierzami i konfederatki, za mało mu się wydawali być Polakami.

— Radzi więcej po francusku, aniżeli po polsku mówić.

Pan Dyrektor bronił swych wychowanków:

— Potworzyli kółka, żeby wśród rekreacji tylko polskiego języka używać. Wchodzący do grona składa wstępnego kilka groszy, a za każde użycie francuskiego frazesu, pewną płaci karę. Zebrane tym sposobem pieniądze służą do nastręczania sobie przyjemności, w której całe grono bierze udział...

— I myślisz pan że będą po polsku gadali... Każdy woli paplać po francusku i płacić karę... Tembardziej że za zebrane grosze mają jeszcze jakąś rozrywkę.,.

W szkole panował program francuski, ale duch polski i ten najlepszy — z czasów Komisji Edukacyjnej. Podanie nauk, wobec przestarzałego programu francuskiego, całej Europy zresztą — było nowe i eksperymentalne. Juljan Klaczko, który czas jakiś był preceptorem na Batiniolach, opowiedział się za zasadą — dotąd jeszcze nie przez całą pedagogję stosowaną: „Zadaniem elementarza winno być prędkie nauczanie czytania z największą, ile można, zabawą dla dziecka". Narówni z umysłem kształcono charakter i Batiniolczycy mogliby ze skautami rywalizować co do siły woli i hartu ducha. Obok nagród za dobre prowadzenie się i nauki, nagradzano rzecby można spartańskie cnoty: „Siłę i Odporność", „Siłę i Odwagę", „Odwagę i energję", „Odwagę i Zręczność", „Gorliwość i Stateczność", ,,Odporność i Tężyznę"...

Nagrody były różne. Prócz powszechnie znanych, utartych, bronzowe, srebrne i złote médailles d'honneur, wyznaczone przez S. A. I. le prince Napoléon, a także jeszcze specjalnie polskie — wygnańcze. Na wniosek Adama Mickiewicza doroczną pielgrzymkę do Montmorency na grób Niemcewicza i Kniaziewicza podniesiono do godności najzaszczytniejszego odznaczenia.

Nie brak też było kar — srogich. Zaczynały się one już za stopnie, za które zwykle uczniów się chwali. „Dobrze" to wystarcza dla Francuza, dla Polaka to za mało. Polak nic dobrze umieć nie może, musi wszystko umieć doskonale. Później, już na obecnych Batiniolach, Dyrektor Budzyński za taki mały dowód pilności zamykał na cały dzień w karcerze. Latem, chłopaki wyrywały z karceru i wdrapywały się na akację, aby w jej cieniu ukryć się przed niedowidzącym Dyrektorem. Na ich pochwałę, powiedzieć można iż często na szczycie drzewa czytali, zamiast grać w ćwieka lub kurzyć papierosa. (A może siarniczków zapomnieli?)

Raz przechadzającemu się po podwórzu Dyrektorowi dwie odrazu na nos spadły książki:

— Będziesz miał i następną niedzielę karcery, durniu jeden z drugim! A więcejby się wam patrzyło, za tę waszą niezręczność!

Surowość siostrą tu zawsze była sprawiedliwości. Zanim kogo skazano na karę, dłużej debatowano, niż gdy go miano nagrodzić.

Obrady przeciągały się ponad określony czas i vice-prezes Rady Szkolnej musiał raz posłać do domu „pneumatyk„:

„Nie czekać na mnie z obiadem, zaszła potrzeba pozostania dłuższego na sesyji szkoły".

Adam Mickiewicz

Szczególnie długie były narady z końcem roku szkolnego, przed popisem. Na ten popis od dnia 8 kwietnia 1865 roku, gdy w Tuilleryach dan był dekret uznający Szkołę Polską za instytucję użyteczności publicznej i przyznający jej zasiłek rządowy, książę Napoleon, urzędowy opiekun i protektor, posyłał swego pierwszego adjutanta, aby go reprezentował. Uroczystość ta, obok 3. Maja, 29. Listopada, a potem od 63. roku i 20. stycznia największe święto wygnańcze, gromadziła całą Emigrację, wezwaną zaproszeniem połączonem z programem obchodu, Oszczędnym ówczesnym obyczajem zewnętrzna strona odpowiednio złożonego arkusika służyła za kopertę, a ponieważ filatelistów jeszcze nie było, stempel pocztowy służył — za markę.

Po Powstaniu był zwyczaj, iż na dzień ten radości powszechnej, grottgierowskie matki zdejmowały żałobę narodową, czarne suknie i kwefy, a nawet dżetowe krzyżyki zamieniały na białe, z kości słoniowej.

Na popisie przemawiali wielcy w narodzie. Raz zabrał głos lirnik ukraiński, w czamarce, z długą jak pasiecznik brodą i tak błękitnemi oczami że słowo jego każde było jasne i ciepłe:

— Młodzi polska!...

W rachunkach Szkoły Narodowej figurują pozycje ofiar bezimiennie złożonych przez „Francuzów — przyjaciół Polaków". Wielu naszych dawało talary, poświęcało swój czas, ofiarowywało swój genjusz z wiarą, że modlitwa dzieci wysłuchaną kiedyś będzie.

Modlono się tu bowiem słowami Ksiąg Pielgrzymstwa: *„Pozwól nam modlić się znowu do Ciebie obyczajem przodków, na polu bitwy, z bronią w ręku, przed ołta-*

* Fragment z książki: „W mieście świata polskie ścieżki", mającej się wkrótce ukazać w luksusowem wydaniu, z miedziorytami Wilka-Osseckiego.

rzem zrobionym z bębnów i dział, pod baldachimem zrobionym z orłów i chorągwi naszych; a rodzinie naszej pozwól modlić się w kościołach miast naszych i wiosek naszych, a dzieciom na grobach naszych. A wszakże niech się stanie nie nasza wola, ale Twoja. Amen."

Nie brak było jawnych lub skrytych wrogów szkoły, nie brak sarkań i narzekań. I co się dziwić satyrze iż ostrzyła sobie ząbki na Narodowej Szkole Polskiej skoro najbliżsi jej, Wrotnowski np., też krytykował. Ukazywało się wiele pamfletów wymierzonych przeciw wykonaniu lub zasadzie, wadom ludzi lub bolączkom instytucji. Niektóre echem odbiły się w kraju. „O żywieniu uczniów paryskich", wyszła broszurka w Warszawie. Ulotne pisemka, jak jakieś tam „Echo" — litografowane — ubolewa nad uszami wychowanków Szkoły Batiniolskiej. „Niech daruje Szanowna Rada Szkolna, wątpimy jednak aby one puchły od ogromu prawd jakie tam słyszą. Zapewne przykładają się do tego ręce światłych pedagogów. Czy to godziwe?"

Wielkie działa przeciw programowi wytoczył Juljusz Jedliński w Poznaniu, w roku 1854. Odpowiedział mu sam K(laczk)o. Jul. Jedliński nad innych dobrodziei wynosił Zamoyskiego, mówiąc przytem iż „Szkoła winna być prawdziwie polska, więc katolicka i nie demokratyczna". Klaczko, chwilowo źle do Jenerała usposobiony, zbija jego zasługi, występuje przeciw arystokratyczności szkoły, wyśmiewa projekt Jedlińskiego nauki tańców, a drwi poprostu z projektu wcielenia sportów do programu nauki. Gry w piłkę się zachciewa temu nowatorowi! „Na tę waszą reformę, której potrzeba tak gwałtownie czuć się daje, ośmielam się i ja zwrócić całą wysoką uwagę Szanownych Członków Rady Szkolnej. A w nakłonieniu ich serca ku temu, bądź mi i ty pomocą świetny igrzysk bożku, Kędziorny Apolinie! I ty też szepnij słówko za nami, wielka piłki mistrzyni, liljoramienna Nauzykao!"...

Po spożyciu święconego Pan Dyrektor prowadził gości po sali i pokazywał znajdujące się tam prace uczniów.

— Niektórzy nawet w malarstwie są biegli! Oto kilku chłopaków, lat po piętnaście i szesnaście, wymalowali gwaszem Wieczerzę Pańską, zupełnie jak tamta, na ścianie klasztoru...

— Co mi tam głowę zawracacie malunkami... A czy znają oni i kochają gniazdowy swój kraj?... Niechby lepiej Basałyki czem innem w życiu się odznaczyły, aniżeli obrazkami... Niechby lepiej naszej literatury wzniosłe piękno Francuzom objawili...

(znalazł się nie jeden taki, który to uczynił. Wieszczów naszych na francuski język przełożył wychowanek Szkoły Batiniolskiej, Wacław Gasztowt).

...— Chciałbym żeby w naszej sierocej rodzinie wyrastali na ludzi, którzy dobre imię polskie po całym rozniosą świecie...

(wyrósł nie jeden taki. Jeden, który nazywał się Kłobukowski, był gubernatorem - jeneralnym Indo - Chin).

...— Chciałbym żeby z nich wyszedł taki, coby tym psubratom Niemcom sadła zalał za skórę...

(nie jeden wyszedł taki. Jenerał Lipowski w 1871 r. bronił Chateaudun; obronę tę nawet dzieła niemieckie za wzór strategji podają).

Wrotnowski wracał zmęczony i radby chrapanego sobie uciął. Ale trzeba było iść do Księstwa, a potem zajrzeć do Zamoyskich. Dopiero wieczorem czekał go zupełny odpoczynek w Paryskiej Sofjówce, u pani Węgierskiej.

Spotkał tam dawno niewidzianego druha. Rzecze mu:

— Postarzeliśmy się...

— A no, postarzeli...

— A cośmy zrobili?

— A no, nic...

— Ej, warto dać nam po 50 batów...

A że nie był zadowolony z wizyty u Basałyków, też ich na drugi dzień w swym Pamiętniku batami częstował:

„Na kobiercu położyć i wymierzyć po 50 odlewanych"...

Pod datą 20. sierpnia 1929 roku zapisała dziennikarka w swym notesiku:

„Zobaczyć Ognisko dawnej Szkoły Batiniolskiej."

Nie jest to już ten sam dom, w którym pan Wrotnowski był na Święconem. Sprzedano go po roku 71., gdy zubożały rząd francuski cofnął subsydja i gdy sami dawni uczniowie postanowili łożyć na ukochaną szkołę. Rozwijała się ona dalej pod strażą Czackiego i Konarskiego, pod kierunkiem dra Seweryna Gałęzowskiego, po śmierci którego

MŁODZIEŻ POLSKA
WE FRANCJI WYCHOWANA
DOBROCZYŃCOM SWOIM

pod zielonym jaworem pomnik wzniosła. Bohaterom zaś — „najbardziej polskim Francuzom, najbardziej francuskim Polakom", — którzy dla podwójnej ojczyzny życie na polu bitew oddali, Polska i Francja hołd tablicą imienną złożyła.

Dziś Szkoła Batiniolska zamieniona została na „Ognisko" dla stypendystów i uczonych naszych. Trochę to wygląda jak Villa Médici, a trochę jak klasztor. Bo regulaminem i wielu przepisami życie tu jest ujęte.

Ale łamanie praw jest właściwą ludziom rzeczą i gdzie jest dyscyplina tam muszą być i figle... Gdy dorośli znajdą się pod pręgierzem, to dokazywać poczynają, niby uczniaki. Odzywa się w nich dzieciństwo, które nigdy żadnego człowieka nie opuszcza — tylko często ukrywać się musi. Lecz przy pierwszej sposobności pustować jest łatwo — jak niegdyś...

Wywiadu dziennikarce udziela dyrektor zakładu, a potem następuje zwiedzenie pokoi, — płci nadobnej dozwolone jedynie — w obecności wyższej władzy. Dłużej zatrzymujemy się w rzeźbiarskiej pracowni pewnego Żmudzina, pochodzącego z Wandziagołów, „Rzeczpospolitej Polskiej powiatu Kowieńskiego". Idziemy do sali jadalnej.

— Prócz kaloryferów nic tam z dwudziestego wieku niema, — żartuje artysta.

Rzeczywiście. Dla rzeczy wiek nie jest tak jak dla ludzi, nieubłagany. Stoją stare sprzęty, wisi czarny krucyfiks, a obok niego owa Wieczerza Pańska...

Napróżno szukamy daty. W rogu obrazu są tylko wypisane imiona malarzy i 5 kwietnia... Szczęśliwe lata, gdy rok nie ma znaczenia! Ważny jest tylko ten 5 kwietnia, i własne, młode imiona!

Wychodzimy na podwórko. Jawor zielenieńki i akacja rozłożysta. Wdzięczność wciąż żywa i wesołość kwitnąca...

Dziennikarka bardzo była ze swej u dawnych Basałyków wizyty zadowolona.

AURELJA WYLEŻYŃSKA

ANNA SEVERN I FIELDINGOWIE

Z ang. przełożył Czesław Jastrzębiec-Kozłowski Powieść, 18

Nie powinniśmy się uskarżać na to, z czego wszyscy korzystamy. Niektórym łatwo się takie rzeczy wybacza. Cokolwiek Ania czyni czy nie czyni, zawsze będzie ona kochaną naszą dziewczynką. Co zaś do Queenie, to nie martwię się o nią ani przez chwilę. Wprost napraszała się na to.

Pytał siebie w duchu, czy to prawda. Z tego, że matka tak twierdzi, nie wynika jeszcze, by Anna i Colin byli parą kochanków; nawet jeżeli matka wierzy w to poważnie.

— Spodziewam się, że nie opowiadasz o tem na prawo i na lewo? — rzekł.

— Mój kochany Jerroldzie, za kogo ty mię wkońcu masz? Nie powiedziałam nawet ojcu Ani. Powiedziałam tylko tobie, gdyż sądziłam, że powinieneś wiedzieć.

— Słowem, chcesz mię odstręczyć od Anny?

— Wcale nie chcę. Lecz to się stanie z samej natury rzeczy, no nie?

— O mój Boże, zapewne, jeżeli to prawda. Ale może to nieprawda.

— Jerry, mój kochany, może to strasznie niemoralne z mojej strony, lecz dla dobra Colina spodziewam się poprostu, że tak jest. Tak sobie życzyłam małżeństwa Anny z Colinem... On doprawdy czuje się dobrze tylko przy niej... i gdyby się rozwiódł z Queenie, jestem pewna, że Anna za niego wyjdzie.

— Ale, mamo, uprzedzasz fakty. Może się zupełnie mylisz.

— Być może. A ty jak sądzisz?

— Skądże u Boga mam wiedzieć? Wszak nie mogę ich zapytać.

— To prawda, nie możesz.

Oczywiście nie mógł. Nie mógł się udać do Colina i spytać: „Czyś ty kochanek Anny?" Nie mógł pójść do Anny i zagadnąć: „Czy jesteś kochanką Colina?"

— Gdyby chcieli, żebyśmy wiedzieli, — rzekła Adelina, — oznajmiliby nam sami. Wszak mam słuszność?

— W razie, jeżeli to nieprawda; czy sądzisz, że Colin ją kocha?

— Tak, Jerroldzie. Jestem tego zupełnie, zupełnie pewna. Byłam tam przed tygodniem i widziałam ich. Nie daje jej oddalić się na minutę. Bez cienia wątpliwości, kocha ją.

— A ona?

— O, po niej poznasz... Ale jestem pewna... Czyżby siedziała tam, pozwalając ludziskom snuć domysły i gadać, gdyby nie kochała go tak mocno, że wszystko wobec tego niknie?

— Ale czyby... czyby...

Najlepszą cechą jego matki było to, że w takich kwestjach chwytała myśl mówiącego w pół słowa. Nie było się zmuszonym do ścisłych wyrażeń.

— Mój drogi, jeżeli myślisz, że nie, choćby kochała, to nie znasz Anny.

Jerrold powiedział:

— Pojadę tam i zobaczę się z nią.

— Tylko na miłość Boską, bądź ostrożny. Nawet jeżeli nic niema, nie daj się Colinowi domyślić, że coś podejrzewasz. Ubrda sobie wówczas, że powinien ją opuścić, by jej nie kompromitować. A jeśli się rozstaną, zapadnie w stan poprzedni. Ja zaś nie mogę się nim opiekować. Zresztą nikt poza Anią nie potrafi tego. Oto dlaczego są ze sobą związani. Nic na to nie poradzimy.

— Tak...

— Ostatecznie, Jerroldzie, to takie proste. O ile są niewinni, musimy ich zostawić w ich niewinności. A jeżeli nie są...

— Tak, jeżeli nie są?

— No, to musimy, ich zostawić w tem.

Jerrold się roześmiał. Choć bynajmniej nie był ubawiony.

3.

Do Wyck pojechał nazajutrz; dłużej nie mógł czekać. Nie, żeby miał teraz bodaj cień nadziei. Jeśli nawet podejrzenia matki są nieuzasadnione, dała mu wyraźnie do zrozumienia, że Anna jest Colinowi niezbędna; a skoro tak, Colin najpewniej pragnie jej. Matka nie jest o tyle naiwna, by się w tego rodzaju sprawach mylić z gruntu. Tak więc, czy owak, musi być gotów do wyrzeczenia się Ani. Nie może jej odbierać Colinowi, a gdyby i mógł, nie zechce. To jego wina. Co się stało, stało się przed sześciu laty. Powinien był ją kochać wtedy.

W pociągu myślał o niej. Mała dziewczynka o krótkich czarnych włosach, tuląca do piersi rabego królika, mała dziewczynka o słodkich ustach gotowych do pocałunków, nagle wieszająca mu się na szyi kochającemi ramiony. Słuszna dziewczyna o długich czarnych włosach związanych w ogromny warkocz, dziewczyna zbyt duża do pocałunków. Dziewczyna siedząca w swym pokoju między białem łóżkiem a oknem, z czarnym kotkiem na kolanach. Warkocz grubym biczem zwisa po jej plecach. Pamięta, jak ją ucałował, pamięta dotyk jej gładkiej twarzy, ucisk jej ukochanej główki na jego ramieniu, słony posmak jej łez. Nie do pojęcia, że jej wówczas nie kochał. Czemu nie kochał? Czemu dał się powstrzymać swemu przeklętemu tchórzostwu? Wszak Eliot ją kochał.

Przypomniał sobie Colina. ...Mały Colinek biegnący za nimi po trawie, wołający, by go wzięli ze sobą; Colin grający na fortepianie; głos Colina śpiewającego „Rendala". Starał się myśleć o Queenie — kobiecie, z którą się Colin ożenił. Nie miał w duszy jej obrazu. Widział tylko Colina i Annę.

Na dworcu spotkała go sama. Szła ku niemu po platformie. Ich oczy wypatrywały się wzajemnie. Coś zdławiło mu głos. Przemówiła pierwsza.

— Jerrold...

— Aniu. — Dziwny zduszony głos, gdzieś głęboko w gardle.

Dłonie splotły się, ściśle i mocno.

— Colin chciał przyjechać, alem mu nie pozwoliła. Toby dla niego było za wiele. Możeby się rozpłakał, czy coś takiego... Nie zwracaj uwagi, jeżeli się rozpłacze na twój widok. Nie czuje się jeszcze zupełnie zdrów.

— Ale zdrowszy?

— O, znacznie. Może teraz potrochę pracować. Dogląda jagniąt, kurcząt, prosiąt. Zatrudnienie dobrze nań wpływa.

Jerrold przyświadczył.

Dotarli teraz do Manor Farm.

— Nie zważaj, gdyby się rozpłakał — powtórzyła.

Colin czekał na niego w przedsionku. Usiłował panować nad sobą, lecz zobaczywszy Jerrolda na ścieżce, nie wytrzymał i wybuchnął krótkiem, konwulsyjnem łkaniem, które się urwało przy dotyku Jerroldowej dłoni.

Anna zostawiła ich samych.

4.

— Nie odchodź, Aniu.

Colin ją powstrzymał, gdy po obiedzie chciała ich znów odejść.

— Czyż nie pragniesz mieć Jerrolda tylko dla siebie? — spytała.

— Nie chcemy, żebyś odchodziła, prawda, Jerrold?

— Prawda.

Jerrold czuł sam, że wciąż się im przygląda. Starał się przekonać siebie, iż matka nie miała słuszności. Lecz nie był pewien. Ilekolwiek się przyglądał, pewien nie był.

Gdyby matka nic mu nie mówiła, możeby mógł nadal wierzyć w to, co nazwała ich niewinnością. Ale matka poddała mu, czego się ma doszukiwać, i teraz za zbawienie duszy nie zdołałby uniknąć widzenia tego na każdym kroku: w twarzy Anny, w spojrzeniu, jakiem patrzała na Colina, w jej sposobie przemawiania doń, w jej dobroci dla niego, w tkliwej, pogodnej troskliwości. W sposobie, w jaki się twarz Colina obracała za nią, gdy dziewczyna wchodziła lub wychodziła; w jego niepokoju, gdy jej nie było, w jego uspokojeniu, w nagłem wygładzaniu się bolesnej zmarszczki, gdy, odszedłszy na chwilę, wracała.

Jeżeli jest prawdą, że oni...

Nie mógł ścierpieć, by to było prawdą; umysł mu się burzył przeciw prawdziwości tego; jeśli jednak było to prawdą, nie potępiał ich. Nietylko nie wydawało mu się to niemożliwem lub bodaj trudnem do przypuszczenia, lecz owszem było w jego oczach rzeczą jak najprawdopodobniejszą. Przytrafiało się to od czasu wojny tylu ludziom, że nie mógł przeczyć zgóry. Jedna tylko rzecz byłaby to uniemożliwiła: mianowicie, gdyby Anna kochała jego, Jerrolda. A jakiež ma powody, by to przypuścić? Po sześciu latach? Po jego zaznaczeniu, że ucieka od niej? Uciekł; a teraz dostrzegał jakąś okrutną sprawiedliwość w zbiegu wypadków, które uczyniły jego powrót bezużytecznym. Jeśli kto jest winien, to on sam. On i Queenie, ta okropna dziewczyna, którą Colin poślubił.

Gdy zapytywał siebie, czyby Anna była do tego zdolna, pomyślał: czemu nie, o ile kocha Colina i chce go uszczęśliwić? Skąd on wie, co Anna może, a czego nie może uczynić? Wszak kiedyś sama rzekła mu, że on niektórych rzeczy nie potrafiłby zrobić, ona zaś zdobyłaby się na wszystko.

Spędzili wieczór na urywanej pogawędce, z długiemi pauzami milczenia. Mówili o sprawach, które się wydarzyły przed wojną, przed ożenkiem Colina, o tem, co ich łączyło. Mówili o folwarku i o pracy Anny, o Barkerze i Curtisie i Ballingerze, o pani Suttonowej, przyglądającej się im z okna swego domu.

Pani Suttonowa była ongiś piastunką Colina. Wyszła za starego Suttona po śmierci pierwszej jego żony; za starego Suttona, co to nie chciał umrzeć i zostawić swej fermy Annie. A teraz przyglądała im się jakby w strachu, by sobie co złego nie zrobili.

— Biedna stara niania — rzekł Jerrold.

— Bóg raczy wiedzieć, co ona sobie myśli o nas — rzekła Anna.

— Niema znaczenia, co myśli — rzekł Colin.

I zaśmieli się; zaśmieli. A Jerrold i tak nie był pewien.

Lecz nim upłynęła ta noc, wydało mu się, że jest pewien.

Umieścili go w pokoiku na wieżyczce, komunikującym się z pokojem Colina. Na kominku zobaczył tam starą własną fotografję, jako trzynastoletniego chłopca ze szczeniakiem w ramionach. Dał ją kiedyś Annie ostatniego dnia wakacyj, w roku 1900. A pod łóżkiem znalazł parę Aninych pantofelków. Ze szczeliny zaś w stole zwisał jeden długi czarny włos. Ten pokój prowadzący do Colinowego należał do Anny.

A Colin zawołał:

— Jerry, możebyś nie zamykał drzwi na noc? Nie mogę spać, kiedy drzwi są zamknięte.

5.

Było to na drugi dzień pobytu Jerrolda. On i Anna wspięli się stromą aleją na szczyt wzgórza i usiedli tam pod drzewami. Poza łąkami, na dole, widzieli szare mury i wieżyczki dworu, a jeszcze dalej — drugą aleję brzozową u końca przeciwległego pola.

Przez chwilę milczeli. Ostro zdawał sobie sprawę z jej obecności. Anna zwolna zwróciła ku niemu głowę, by mu spojrzeć w twarz prosto i szczerze.

I poczucie jego bliskości owładnęło nią, wsiąkając głębiej, zatapiając jej mózg. Szeroko otwarte oczy pociemniały, oddech stał się urywanym, rozedrgały się nerwy. Pytała siebie w duchu, czy Jerrold czuje ich rozedrganie, czy słyszy urywany jej oddech, czy widzi coś osobliwego w jej oczach. Mimo to musiała na niego patrzeć nie ukradkiem, nie lękliwie, ale prosto i szczerze, chłonąc go.

Był zmieniony. Zmieniła go wojna. Twarz zdawała się twardszą, usta były mocniej zaciśnięte pod pasemkiem drobnego kasztanowatego wąsika. Oczy, które dawniej promieniowały swój błękit tak wesoło i spoczywały tak pogodnie, były teraz utkwione, ciemne i ciężkie wspomnieniami. Za wiele widziały. Nigdy już nie utracą tej mrocznej pamięci o widzianych rzeczach. Czy więc Colin miał słuszność? Czy wojna wyrządziła Jerroldowi większą niż jemu krzywdę? Nie powie jej tego nigdy.

— Jerroldzie, — ozwała się nagle, — czy ci czas mile upływał w Indjach?

— Bo ja wiem?... miałem wrażenie, że tak.

— A właściwie było inaczej?

— Czy mogło mi tam być przyjemnie...

— Chcesz powiedzieć, że to tak dawno?

— Nie, nie to chcę powiedzieć.

— Zapomniałeś?

— Również i nie to miałem na myśli.

Milczenie.

— Słuchaj, Aniu. Chcę wiedzieć o Colinie. Czy mu było bardzo źle?

— Tak, bardzo.

— Jak dalece?

— Było mu czasami tak źle, aż się cieszyłam, że nie jesteś tu i nie widzisz. Pamiętasz, kiedy był dzieciakiem, jak się bał po nocach. Otóż teraz było tak samo. Tak samo jest nawet obecnie, tylko że jest nieco zdrowszy. Nie krzyczy już... I wciąż gryzł się o ciebie. Wyznał mi to dopiero przed paru dniami. Uważał, że wojna wyrządzi ci coś straszliwszego, niż jemu; dlatego — mówił — że ty więcej weźmiesz to do serca. Przekonywałam go, że ty nie tego rodzaju rzeczami najbardziej się przejmujesz.

— Tak, przejmować się temi rzeczami — to do niczego nie prowadzi. Nie zdaje mi się, bym się przejmował więcej od innych chłopców. Gdyby się to wydarzyło tobie, albo jemu, albo Eliotowi — oto co wziąłbym do serca.

— Wiem. Mówiłam mu to. Wiedziałam, że dasz sobie radę.

— Eliot miał najzupełniejszą słuszność co do Colina. Wiedział zgóry, że Colin nie wyjdzie cało i zdrowo. Nie powinien był wogóle iść na wojnę.

— Tak strasznie tego pragnął. Ale Eliotowi udałoby się go powstrzymać, gdyby nie Queenie. To ona go wygryzła, wyszczuła. Powtarzała mu, że jest tchórzem. Pomyśleć tylko: Colin — tchórzem.

— Jaka jest ta Queenie?

— Jest taka właśnie. Sama nigdy nie tchórzy, ale koniecznie pragnie wykazać, że tchórzą wszyscy inni.

— Lubisz ją?

(C. d. n.)

KOBIETA NA SZEROKIM ŚWIECIE

1)

POMIMO pozornie sprzyjających warunków, kobieta współczesna bardzo rzadko odgrywa znaczniejszą rolę w wydarzeniach świata. Triumfująca demokracja odebrała jej potęgę, którą sprawowała poprzez władzę osobistą lub poprzez władzę nad sercem tych, którzy rozstrzygali o losie miljonów ludzi. Siła sugestywna zdobyczy demokratycznych jest tak wielka, że nawet współcześni dyktatorzy nie chcą oddać jej nic z rozkoszy swojej potęgi. Polityczne wpływy kobiet należą do rekwizytów pokonanego absolutyzmu. Czasy królowej Elżbiety, Katarzyny Wielkiej i Marji Teresy, czasy markizy Pompadour i pani de Maintenon minęły bezpowrotnie.

Jednocześnie odebrano kobiecie tę samodzielność, którą posiadała czyli ściślej mówiąc, nie pozwolono jej wywalczyć jeszcze samodzielności równorzędnej mężczyźnie. Kobieta, która usiłuje dzisiaj być niezależną, jest najczęściej istotą upośledzoną, żyjącą w cieniu i pozbawioną szerokich horyzontów. Kobieta zdobywa dopiero piędź po piędzi te wszystkie przywileje, które są od wieków własnością mężczyzny. W tym czasie przełomowym, przy tej mozolnej przeprowadzce na nowe płaszczyzny życia, sytuacja kobiety musi być szczególnie niekorzystna. Utraciła bowiem bardzo wiele, a zyskała jeszcze mało. Świat współczesny nie jest owym wytwornym, usłużnym, lekkomyślnym i bujnym kawalerem, który był zawsze gotów poświęcić wszystko dla jej kaprysu. Jest on raczej podobny do brutalnego i chciwego chama. Można od niego dostać tylko to, co się należy na mocy siły i dojrzałości wewnętrznej.

Zdarzają się jednak wyjątki pełne niespodziewanego blasku, zdarzają się indywidualności niepospolite, wyrastające ponad przeciętność i będące obrazem zwycięskiej przyszłości.

Czytając pamiętniki Klary Sheridan doświadcza się w pewnej mierze tego poczucia niezwykłości. Nie posiada ona wprawdzie znamion wielkiego rozwoju duchowego. Zdolności jej są mierne, jakkolwiek bardzo różnorodne. Oddaje się rzeźbie, dziennikarstwu i literaturze bez poważniejszych rezultatów. Wykształcenie i inteligencja bardzo przeciętna. Mężczyźni, którzy nie ulegają urokowi jej kobiecości, nie odnoszą się do niej poważnie. Przepyszny okaz współczesnego mózgowca H. G. Wells, traktuje ją zawsze z ironiczną pobłażliwością. „Był on zawsze — skarży się Klara Sheridan — wesołym i dowcipnym kolegą, ale nigdy nie mogłam uzyskać, aby na jakikolwiek temat poważnie ze mną dyskutował".

Wszystkie wydarzenia niezwykłe wywołują u niej reakcję dość powierzchowną. Na dnie jej sympatji i antypatji ukrywa się zawsze podniecona kobiecość niezdolna do chłodnego i sprawiedliwego osądu. Pociąga ją wprawdzie wielkość i niezwykłość w każdej postaci, ale nie usiłuje nigdy przeniknąć tego, co działa na nią niemal zmysłowo.

Jest zawsze tylko kobietą, czasami nawet kobietką...

Ale wśród mgławicy nieświadomych odruchów i zbłąkanej wrażliwości błyszczy jasnym i określonym blaskiem jedna wielka zaleta — zaleta, której zawdzięcza świetność swojego zjawiska i życie bardzo niezwykłe.

Jest to odwaga, odwaga człowieka kochającego niezależność i pogardzającego wszelką formalistyką.

Dzięki temu mogła żyć narówni z mężczyznami, narówni z nimi pracować i zdobywać, nie tracąc przytem nic ze swojej kobiecości rasowej i niesamowitej.

— — — — — — — — — — — — — —

Pierwsze rozdziały jej pamiętnika czyta się, jak początek jednej z powieści Galsworthyego, tego pisarza sprawiedliwego, który pomimo swoich socjalistycznych przekonań umiał zawsze ukazać szlachetną formę życia arystokracji angielskiej.

Upływa ono i tutaj w domach wykwintnych i spokojnych, otoczonych drzewami i kwiatami, wśród sportów, uciech towarzyskich i włóczęgi po kontynencie. Jest to jakby nieustający, radosny festyn, łańcuch niewyczerpany wrażeń pogodnych, wyreżyserowanych umiejętnie przez tradycję, rozsądek i poczucie przyjemności.

Autorka pamiętnika nie rozstrząsa szczegółowo swoich koligacyj, ale z toku opowiadania łatwo poznać,, że była spokrewniona z najwybitniejszemi rodzinami angielskiemi i od najwcześniejszej młodości zwykła obracać się wśród najmożniejszych osobistości. Król serbski Milan jest przyjacielem jej matki, królowa Eugenia dobrą znajomą, a z dworem szwedzkim łączy młodziutką Klarę najserdeczniejsza zażyłość.

„Posiadałam zawsze — pisze ona — zrozumienie dla godności królewskiej. Coś z uroku średniowiecznego otaczało autorytet władcy klanu, rodziny lub państwa".

To poczucie tak silnie rozwinięte miało ułatwić jej życie późniejsze, wówczas kiedy los narzucił jej samodzielność i nawet wtedy, kiedy poczęła zadziwiać świat swoim romansem z Rosją bolszewicką.

Wcześnie poczęła objawiać zamiłowanie artystyczne. Na tem tle usiłowała nawiązać stosunek z najświetniejszymi przedstawicielami sztuki i literatury angielskiej, oraz z dziwakami żyjącymi poza barjerą obowiązującego konwenansu. Wydała się interesującą Kiplingowi i Meredithowi, Wells traktował ją pobłażliwie, a Hichens pisywał do niej długie listy pełne sentymentalnego patosu.

Ponieważ rodzice jej nie posiadali wielkiego majątku, zagadnienie odpowiedniego małżeństwa pojawiło się na horyzoncie młodego życia jako rozumna konieczność.

Tymczasem Klara okazała się nierozsądną i zakochała się w człowieku wprawdzie dobrze urodzonym i przystojnym, ale posiadającym zaledwie 500 funtów rocznego dochodu.

A 500 funtów to była nędza, zupełna nędza...

Skoro jednak Wilfred Sheridan wydał się młodej dziewczynie tak bardzo romantycznym, nic nie zdołało jej powstrzymać od połączenia z nim swoich losów.

Poślubiła go i znowuż tak, jak w powieści Galsworthyego, przeżyła wszystkie rozczarowania małżeńkie. Pospolitość ukryta pod skorupą poprawności i dobrych manier, pustka życia monotonnego zaciążyła ponad nią. „Z każdym dniem odlatywały ode mnie romantyczne marzenia tak, jak odlatują na jesieni ptaki wędrowne".

Wilfred musiał pracować w pocie czoła. Jego zamiłowanie do kwiatów i poezji umarło przy biurku w nieprzewietrzanym lokalu i w tym budynku, hałaśliwym i obrzydliwym, jak dworzec kolejowy, który nazywa się giełdą. Ciężko zarobione pieniądze wydawane w sposób najbardziej bezmyślny, lecz zgodny z tradycją arystokratyczną.

Macierzyństwo i związane z niem kłopoty wypełniają lata, które zdają się przemijać niezauważone. Jedynym ich śladem jest coraz bardziej wzrastająca rezygnacja, coraz większe przystosowywanie się do warunków i formuł ustalonych.

Dopiero niespodziewany wybuch wojny przynosi pierwszy wielki wstrząs i zapowiedź przeżyć niezwykłych. Jej mąż wyrusza do Francji jako komendant bataljonu i ginie podczas wielkiej ofenzywy sprzymierzonych w sierpniu roku 1915-go, zaledwie w kilka dni potem, kiedy urodził mu się syn zdawna upragniony. (C. d. n.)

STANISŁAW DZIKOWSKI

„DOM KOBIET"

USTALANIE formy dramatu jest takim samym scholastycyzmem jak każde tworzenie „niezbitych" kanonów w sztuce. Pewnym przymusom ulegają zresztą okresy czy epoki, na które dzielimy prądy w sztuce i literaturze. Zjawienie się nowatora albo reformatora o wybitnej indywidualności twórczej określa te poszczególne prądy i dlatego istnieją w państwie sztuki sui generis — dyktatorzy. A co ciekawsze, że masa konsumentów niecierpliwie domaga się coraz to innych, coraz to nowych i odmiennych dyktatorów. Kapryśność masy objawia się zwłaszcza wobec teatru i stąd też forma teatralnego tworzywa najczęściej ulega zmianie. Są to jednak tylko zmiany zewnętrzne, bo w istocie na zawsze już pozostanie w teatrze konieczność skrótu myślowego, ilustrowanego przyśpieszonem tempem akcji.

tajemniczym, bezwzględnie osobistym bycie. Zaczem już idzie dalszy wywód, który Nałkowska w rozmowie z J. M. Wielopolską sformułowała w ten sposób: „...nic w życiu nie stało się ostatecznie, raz na zawsze — nic nie jest zupełnie zamknięte, w niczem niema spokoju. Z przeszłości, już napozór nieżywej, wyrasta całkiem nowy stan rzeczy, wyskakuje utajony dramat. Przeszłość nie jest tak zupełnie załatwiona, nie jest gotowa. Zawiera ona masę elementów dzisiejszego życia, masę możliwości, rzeczy nietylko niewiadomych, ale także niezakwalifikowanych, źle zrozumianych."

Z tych słów Nałkowskiej odtwarzamy sobie fazy myślowej rozbudowy „Domu kobiet", zanim nastąpiło jego sceniczne wcielenie. Zapewne — mógł tu być porządek odwrotny: najpierw doświad-



„DOM KOBIET" W TEATRZE POLSKIM

Zofja Nałkowska w otoczeniu zespołu swej sztuki. — Siedzą od lewej do prawej: Marja Przybyłko-Potocka, Zofja Nałkowska, Stanisława Stubiecka, Wanda Braszczewska, Honorata Leszczyńska. — Stoją od lewej do prawej: Karolina Lubieńska, Wanda Siemaszkowa, Mila Kamińska, Janina Munclingerowa

czenie, fakt rzeczywisty a potem dopiero koncepcja myślowa. Ale w samem tworzeniu dramatu fakty, czyli akcja sztuki są już wtórne. Rzeczywistość przeżyta czy zaobserwowana ilustruje jedynie tezę i jej rozwinięcie. Personae dramatis obsługują „punkt wyjścia" autorki. Siedem kobiet zaświadcza, że „przeszłość nie jest tak zupełnie załatwiona." Żyją przecież wspomnieniami, jak czemś rzeczywistem, rzec można, że charakterem tych kobiet jest ich ustosunkowanie się do wspomnień. Im dalej od żywego źródła wspomnień, tem głębiej i bardziej istotnie przeżywają swój odmienny los. Ale dopiero przeżycie Joanny oświetla jaskrawym przykładem, że „przeszłość nie jest spokojna", że może nagle zmienić swoje oblicze, choćby musiała przekroczyć uświęcającą granicę śmierci.

Kiedy więc stało się wiadome, że Zofja Nałkowska, czołowy powieściopisarz polski, napisała sztukę, powszechne zaciekawienie miało grymas sceptycyzmu. Bo, jakże sobie powieściopisarz tego typu, co Nałkowska, da radę z formą dramatu, jak to wewnętrzne dzianie się, które jest istotą jej powieści, uplastyczni na scenie? I czy naprawdę z m ó w i e n i a ułoży się a k c j a? Niemniej też interesowało, czy forma dramatyczna sztuki Nałkowskiej będzie — nowa.

Nałkowska niewątpliwie zdawała sobie sprawę ze swoich nawyków powieściowych, ale jej stosunek do treści i zagadnienia „Domu kobiet" narzucał odmienne możliwości formy. Nie stwarzając nowej formy scenicznej, nie chcąc wcale rozwiązywać problemu nowej formy dramatu, Nałkowska pragnęła przedewszystkiem osiągnąć mocną architektoniczną budowę według przyjętych i uznanych wzorów, budowę, której fundamentem jest — teza.

Każdy dobry pisarz dramatyczny musi właściwie oprzeć się na tezie i choć w drugiej połowie XIX wieku niektóre tylko utwory dramatyczne określano jako „pièce à thèse", „Thesendrama", to jednak nawet dramat grecki wysnuwał swoją akcję z zasadniczej tezy moralnej. Tezą Nałkowskiej jest: „wszystko jest wciąż inne". Nietylko bowiem zewnętrznie zmienia się wszystko, ale nasz wewnętrzny stosunek do ludzi i spraw przeobraża się bezustannie. A dzieje się to dlatego, ponieważ jeden człowiek o drugim właściwie nic nie wie, skoro każdy żyje w swojej aurze, w swoim

W sztuce Nałkowskiej ma jednak ten wyłączny element kobiecy coś jeszcze do wyznania, coś własnego, a ciaśniejszego od samej tezy, jakaś prawda kobiecej psychiki i kobiecego stosunku do życia wypowiada się w tym „Domu kobiet" tak silnie, tak bezwzględnie, że na moment sprzeciwiamy się jej ostentacyjności. I to właśnie jest w sztuce Nałkowskiej nowe i frapujące: prawda rodzaju żeńskiego. Dla ścisłości, powiedzmy: jedna z prawd. Bo cokolwiek mówi się dziś o kobiecie i w jakiekolwiek my kobiety wyruszamy drogi dla podboju świata, obciąża nas zawsze balast uczuciowy. Nie jesteśmy same i wolne, jakby to nam się wydawało. Decyzja o nas samych nie jest w naszej mocy, skoro jedno miłosne wołanie, jeden taki rozkazujący, apodyktyczny i pożąda-

jący „głos za sceną" — powiedzmyż to wreszcie — głos mężczyzny — rozstrzyga.

Możnaby tu wystąpić z kontrargumentami, nawet z rzeczowemi zarzutami. Bo przecież kobiety z „Domu kobiet" nie są tak zupełnie dzisiejsze. Nałkowska nie dała im ambicji pracy, nie umieściła ich w jakimś pulsującym ośrodku walki o byt. Odsunęła je raczej w zacisze wiejskiego domku, który stał się czemś w rodzaju wdowiego przytuliska. I dlatego właśnie wytworzyć się musiał ten nastrój niezupełności i niepełności życia i dlatego nie możemy tak bez zastrzeżeń uwierzyć w rzeczywiste istnienie tych kobiet. Jedna Joanna jest prawdziwa, bo nie jest jeszcze — typem, ale kto wie, czy i ona nie stanie się przeżuwaczem wspomnień, jak te wszystkie inne mieszkanki „Domu kobiet". Chciałoby się zawołać: Uciekaj stąd! Żyj jeszcze, jeszcze pracuj! Poza osobistem szczęściem i nieszczęściem jest jeszcze tysiące innych, twoich własnych wartości!

Ale właśnie wartością sztuki Nałkowskiej jest to, że wychodzimy refleksjami i sprzeciwami poza jej ramy. Taka jest zresztą pobudzająca cecha tezy. Musimy z nią dyskutować, tworzyć antytezy. Nie mamy czasu na ustalanie kanonów, nie pamiętamy, czy sztuka jest nowa pod względem formy. Wiemy tylko, że daje nowe motywy myśli, nowe konfiguracje treści. I wiemy też, że poziom sztuki jest wysoki i obowiązuje nas do wysokiej miary. Dwojaki materjał, dostarczony nam przez sztukę, bo estetyczny i problemowy, da się ocenić i zdefinjować krótko: Sztuka napisana jest z dużem wyczuciem sceny, robi silne wrażenia walorami teatralnemi, wywołuje w nas dyskusyjne wzburzenie, czyli, że widz sam reaguje — udramatyzowanem myśleniem.

Stało się dobrze, że tę kobiecą sztukę reżyserowała kobieta. Pani Przybyłko-Potocka okazała się doskonałym, sprężystym i pełnym inicjatywy dyrygentem tego kobiecego zespołu, który wprost personifikował typy i pokolenia. Miała zresztą niebywały, wprost sensacyjny materjał aktorski umyślnie przez Teatr Polski zmobilizowany dla „Domu kobiet", bo Braszczewską, Leszczyńską, Siemaszkową, Kamińską. Przybyłko-Potocka grała sama główną rolę. W istocie „Dom kobiet" wypadł równie świetnie pod względem aktorskim i dlatego, z odrobiną kobiecej chełpliwości, stwierdzamy, że sukces tej sztuki był zupełny. HERMINJA NAGLEROWA

WIECZÓR POŚWIĘCONY TWÓRCZOŚCI „BIBLIOTEKI MEDYCKIEJ"

MÓWI się wiele o literackim i artystycznym marazmie Lwowa, o wycofaniu go z szeregu żywych komórek twórczego organizmu odrodzonej Polski, a na poparcie zarzutów przytacza się brak kół, towarzystw (t. zw. „ruchu") i — największą armatę — brak pisma literackiego.

Istotnie — są to poważne braki w życiu kulturalnem danego środowiska, ale nie są to jeszcze dowody braku tego życia. Wczesną jesienią rozpoczął się sezon wykładowo-koncertowy i raz po raz poczęły się otwierać podwoje Kasyna i Koła Literacko-Artystycznego na ugoszczenie poważnych gości. I oto jednego wieczoru dowiedział się Lwów, a po nim reszta Polski, ciekawej rzeczy: że mamy w naszem mieście nietylko wspaniałą tradycję kulturalno-artystyczną, ale i żywych, a niepospolitych twórców. Że jest we Lwowie ktoś taki, o kim nietylko warto mówić i kogo miło zobaczyć na ulicy, ale kogo warto poznać, przeczytać, oglądnąć okiem artysty. Wiedziało się wprawdzie nie od dzisiaj, że istnieje rodzina Pawlikowskich i jakaś tam po nich bibljoteka, że wydają książki dwie panie: Wolska i Obertyńska, że w dziełach Szczuckiej są rzadkiej piękności ilustracje („czyjeś"), ale skąd te rzeczy przychodzą, gdzie powstają, do kogo przynależą: do Warszawy, Lwowa, czy jakiej prowincji — nie pytano.

I trzeba oczywiście było, żeby, na zaproszenie Kasyna i Koła Literacko-Artystycznego, przyjechał Stanisław Wasylewski z Poznania i opowiedział Lwowianom historję jednego z najcenniejszych zbiorów bibljofilskich i graficznych, — historję spuścizny Pawlikowskich z Medyki (tej, co to pod Przemyślem; pośpieszny tam nawet nie staje). I trzeba było dopiero związanego misternie i wygłoszonego dźwięcznie odczytu Stanisława Maykowskiego, aby dowiedzieć się, że Lwów żyje i tworzy — i to w sposób szczególnie ciekawy.

Ze starych podwoi medyckiego pałacu, gdy przestali żyć i działać Gwalbert i Tadeusz Pawlikowscy, wychodzą, obwieszczać światu dobre nowiny swoich przeżyć twórczych, już nietylko mężczyźni. Obok młodszej generacji Jana Gwalberta i Michała Pawlikowskich stają, wprowadzone do tej rodziny kobiety, których rodowód jest niemniej zaszczytny. Córka i dwie wnuczki Wandy Monné-Młodnickiej, panie Wolskie.

Razem z niemi zaś wchodzi do Medyki coś więcej, niż kult, szkice i listy Grottgera i Wandy Monné. Wchodzą samorodne, szczere, talenty, które idą w dwu, przez Medykę kultywowanych kierunkach: ku malarstwu i ku literaturze.

Kto to jest Maryla Wolska, wiedziano już przed ćwierć wiekiem. Panna, pani, która pisze smutne i mało czytane wiersze. Kim jest Maryla Wolska, dowiedzieliśmy się dopiero w r. 1929, gdy w „Bibliotece Medyckiej" wyszedł „Dzbanek malin".

W tej książce będącej najpełniejszym wyrazem twórczym poetki i najprawdziwszem poetyckiem spojrzeniem w siebie i na rzeczywistość, zawarła się zarazem najcenniejsza karta Lwowa. Ludzie z jego przeszłości, Grottger, Goszczyński, Tepa i Konopka, Brat Albert Chmielowski i pani Aszpergerowa otwarli umarłe oczy, aby spojrzeć raz jeszcze na Lwów — i przemówić. Szereg żywych pomników i szereg niewysłowionej piękności kartek z pamiętnika. A obok nich i w nich samych — dusza Wolskiej: smutna, ale łagodna, wypogodzona, czasem nawet uśmiechnięta, dusza, która przecierpiała wszystko i wie bardzo wiele.

Gdy chce się mówić o Wolskiej, trzeba mówić o „Dzbanku malin". Gdy chce się poznać Wolską i wziąć z jej rąk godzinę prawdziwie piękną — trzeba przeczytać jej książkę. Książkę z innego, minionego świata, ale wiecznie młodą, bo tętniącą żywem i kochającem sercem.

Maryla Wolska dała nam nietylko poezję. Lutnię po niej, pendzel i ołówek po babce i dziadku, wzięły dwie córki Wolskiej: Beata Obertyńska i Lela Pawlikowska.

Obertyńska — to dusza inna niż matka. Jest w niej skończony rytm współczesności, smutek współczesny i współczesna gorzka refleksja. Do matki podobna jeszcze w „Gitarze i Tamtych", gdy przeżywała dawność w pietyzmie twórczym, ukazuje oryginalną postawę w „Pszczołach w słoneczniku". Któż zapomni jej wiersz o Chrystusie, przybitym do gruszy, jej „Strych", kolędę „Z pokłonem", jej strach, modlitwę i „głupią nadzieję"? Tak mało słów, a taki bezmiar przeżycia! A wśród nastrojów nuta najbardziej kobieca, jedyna w literaturze niewieściej u nas: macierzyństwo.

Ta trzecia — to malarka, Lela Pawlikowska. Patrzy na świat oczyma jakby prerafaelickich malarzy, czasem jakby okiem Dürera lub Stwosza, czasem przez rzekomy prymityw Stryjeńskiej, a czasem po swojemu, też jakoś inaczej, niż teraz ludzie patrzą. I wyjdzie z tego patrzenia taki niepowtórzony fragment z legendy św. Urszuli, scena nad morzem, albo św. Franciszek z krabem, albo ta roztańczona czarownica, albo taka cudownie piękna i do chłopskiej Madonny podobna św. Zofja, albo pokusa jakaś z średniowiecznego klasztoru, zaklęta w kobiecy, wężowy kształt.

Aż dziw, że twórczością Pawlikowskiej nikt się dotychczas nie zajął. Ale też ona nie wystawia obrazów, ilustruje tylko kuzynkom kunsztownie w Medyce wydawane książki.

Ale też i ta Medyka. Podobna do jakiejś nieustającej kuźni talentów, bo teraz pracują w niej nietylko piękne głowy i ręce niewieście, ale pisze i drukuje Jan Gwalbert i Michał Pawlikowscy. Obaj miłośnicy Tatr i góralszczyzny, a ten pierwszy nawet znawca mistyki jeszcze i lwowski profesor „od Słowackiego". Drugi, współautor „Arthura i Wandy", listów Grottgera, które wydał i opracował z Wolską, sam poeta, ma jeszcze, oprócz pracy twórczej, inną miłą rolę w Medyce: pozuje żonie do szkiców.

Tak to mniej więcej, choć nie tym porządkiem, chwalili „Bibliotekę Medycką" prelegenci, do których przyłączył się jeszcze prezes K. i K. L.-A. dr Hojnacki, wypowiedzeniem słowa wstępnego i prof. Kozicki wykładem „Medycki kult Grottgera i sztuki plastycznej", ilustrowanym obrazami świetlnemi przepięknych prac Leli Pawlikowskiej.

Ta epoka Gwalberta weszła obecnie w epokę Michała, którego entuzjazm dla polskiej sztuki, pietyzm dla tradycji i własny polot twórczy otwierają nową erę dla Medyki. JADWIGA GAMSKA

DRUGI TURNIEJ POETYCKI

URZĄDZONY STARANIEM KASYNA I KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO WE LWOWIE

TURNIEJ tegoroczny jest o tyle interesujący dla „Świata Kobiecego", że dwie nagrody, pierwszą i trzecią, zdobyły kobiety. Pierwszą, pani Kazimiera Alberti, lwowianka, która swoją przynależność do tego miasta stale zaznacza. Młoda autorka, o wybitnym talencie poetyckim i literackim potężniejącym zroku na rok, ma już za sobą kilka przepięknych tomików poezyj; wyrobiły jej one chlubne imię i nader życzliwe recenzje.

Pismo nasze ma zaszczyt zaliczać panią Alberti do swych stałych Współpracowniczek, tem więc milszą jest dla nas wiadomość o Jej zwycięstwie.

Wiersze nagrodzone na „Turnieju" ukażą się kolejno w „Świe- Kobiecym", a mianowicie: *Noże* (w numerze niniejszym) i *Ballada Leszczynowa*.

Drugą nagrodę zdobył p. Witold Hulewicz z Wilna za *Bunt zegara*. Autor znany i ceniony w poezji i literaturze.

Trzecia nagroda została przyznana P-nie Marji Grzędzielskiej, również lwowiance, za wiersz „*Modlitwa*".

Do kwestji urządzania turniejów powrócimy jeszcze. Poruszy ją świetne pióro Kazimierza Brończyka, w numerze 10 „Świata Kobiecego" z 15 maja.

CZEM SIĘ INTERESUJĄ AMERYKANKI?

AMERYKANKA osiągnęła swą emancypację polityczną w czasie, w którym życie polityczne Stanów Zjednoczonych cechowało się znacznem nasileniem — ujemnego w swem znaczeniu i budzącego poważne obawy — usuwania się najlepszych jednostek od czynnego udziału w polityce. Objaw ten datuje się oddawna, i już w pierwszych latach bieżącego stulecia był dość widoczny aby zwrócić na siebie uwagę, a powodujące go nastroje w społeczeństwie amerykańskiem, streszczające się w powiedzeniu, że „polityka nie jest stosownem zajęciem dla szanującego się człowieka", były już wówczas zwalczane przez Teodora Roosevelta. Wielki ów Prezydent Stanów Zjednoczonych przepowiadał, że jeżeli najlepsze talenty i bezinteresowne jednostki będą unikały udziału w politycznem życiu kraju, to polityka stanie się monopolem ludzi małych i interesownych, którzy jej poziom obniżą krytycznie.

To obojętne, lub wręcz negatywne ustosunkowanie się do polityki, przeszło w Ameryce w stan jakby chroniczny, który trwa do dziś dnia, a jeśli nie przybrało katastrofalnego rozmiaru przepowiedzianego przez Roosevelta, to jednak wyciska swe piętno wyraźnie na życiu politycznem Stanów Zjednoczonych. Wiele mówi np. duży procent wstrzymujących się od głosowania.

W takim to okresie czasu, Amerykanki stoczyły zakończoną powodzeniem walkę o równouprawnienie polityczne, temu też ustosunkowaniu się społeczeństwa do polityki można częściowo przypisać osobliwe zjawisko, że bezpośrednio po energicznej i zakończonej zwycięstwem kampanji, zamiast, jak tego można było oczekiwać, dążyć do zaważenia na rządach państwa, straciły jakoby zainteresowanie dla tej dziedziny działalności. Częściowo tylko, gdyż obok zacytowanego wyżej poglądu, który Amerykanki przejęły od mężczyzn, zapanowało wśród nich własne przekonanie, że „polityka jest grą stosowną tylko dla mężczyzn".

Wiele się na ten temat myśli i mówi w Stanach Zjednoczonych, i wiele trafnych uwag analizujących ten stan rzeczy zostało wypowiedzianych; uwag tem ciekawszych, że zwiastują one pojawienie się nowego kierunku w amerykańskim ruchu kobiecym, opartego na zdrowych założeniach i mającego wszelkie dane do bujnego rozwoju.

Walka o „Votes For Women", z natury rzeczy wysunęła na czoło ruchu kobiecego antagonizm obu płci, to też w ruchu tym odegrały wybitną rolę jednostki o usposobieniu agresywnem, często cechujące się fanatycznym stosunkiem do propagowanej idei. Błędem tych jednostek było to, że podczas gdy walka toczyła się z uprzedzeniami, z konserwatywnym sposobem myślenia społeczeństwa jako całości, one działały w przekonaniu, że reprezentują żądania ogółu kobiet, i że występują przeciwko ogółowi mężczyzn. Ale nadeszła chwila urzeczywistnienia; to o co się Amerykanka upominała, stało się jej udziałem, a chwila ta była momentem krytycznym dla większości leaderek ruchu kobiecego. Dotychczasowe ich nastawienie psychologiczne utrudniało im, w wielu wypadkach wprost uniemożliwiało, znalezienie się w nowo wytworzonych warunkach; potrafiły to tylko nieliczne z nich, te które miały wybitne zdolności twórcze. Pozostała też na widowni pewna grupka dawnych sufrażystek, która tworząc radykalne skrzydło ruchu kobiecego, wciąż jeszcze wysuwa oskarżenia pod adresem męskiej połowy społeczeństwa. Ale ów nowy kierunek w ruchu kobiecym tworzą — nieliczne narazie — kobiety, które w czasie walki o równouprawnienie przeważnie na czoło się nie wysuwały; którym praca konstruktywna lepiej odpowiada niż atmosfera walki; które w równouprawnieniu politycznem widzą raczej nałożenie nowych obowiązków na kobiety, niż zdobycie przez nie nowych uprawnień.

Najwybitniejszą może przedstawicielką nowego kierunku w ruchu kobiecym Ameryki jest pani Florence Schuyler-Knapp, dziekan Wydziału gospodarstwa domowego w Uniwersytecie w Syracuse N. Y.. Jej wypowiedzenia, postaram się tu streścić:

„Polityka nie jest grą," twierdzi Mrs. Knapp „ale jest zawodem równie ważnym jak wiele innych. Nie można jej traktować jako zajęcie uboczne. Kto chce w tej sferze działania osiągnąć powodzenie, musi wiele poświęcić. Zawód ten nie powinien być uważany za wyłączne pole działania dla mężczyzn. W polityce, mężczyźni i kobiety, powinni współdziałać dla dobra kraju i rodziny, która jest podstawą społeczeństwa. W polityce, podobnie jak w rodzinie, potrzeba zgodnego współdziałania obu płci, istnieją bowiem ważne dziedziny, dla których kobiety mają więcej zrozumienia i żywotniejsze zainteresowanie od mężczyzn. Państwo, którego losy leżą wyłącznie w ręku mężczyzn, jest podobne do domu, którym rządzi wyłącznie ojciec. Atmosfera takiego domu nie jest nigdy tak sympatyczna, jakby być mogła w innych warunkach. W myśl powyższego, kobieta wkraczająca na arenę życia politycznego, powinna zawsze bronić punktów widzenia kobiecych i pozostać — w każdej swej myśli, i w każdym swym czynie — kobietą. To zapewni jej powodzenie." Ażeby zadokumentować tę swoją tezę, pani Schuyler-Knapp, kandydując na stanowisko sekretarza stanu w stanie Nowy York, obrała za swą odznakę minjaturowy naparstek, który nosiły jej zwolenniczki w czasie kampanji wyborczej.

„Ale" — mówi pani Knapp — „w polityce, jak i w innych zawodach, konieczne jest przygotowanie, wyrobienie, rutyna i znajomość rzeczy. Kobieta obierająca tę karjerę powinna zdawać sobie sprawę z tego, że zaszczyty, stanowisko, wpływy i władza nie przychodzą nagle i niezasłużenie. Musi się tu być przygotowaną na długi okres próby, na pracę niepozorną, cichą, ale potrzebną. Musi się również odrzucić fałszywą ambicję i pretensje do specjalnych względów dla swojej płci. Wkońcu — kobiety powinny wyzbyć się uczucia niższości wobec mężczyzn. Uczucie takie żywi większość kobiet, a objawia się ono jużto jako nadmierna nieśmiałość, jużto w postaci radykalnego feminizmu i namiętnych ataków na rządy mężczyzn."

Karjera polityczna pani Schuyler-Knapp doskonale odzwierciadla te jej poglądy, a poszczególne fakty tej karjery mogą uwypuklić i podkreślić wypowiedziane przez nią zapatrywania.

Pani Schuyler-Knapp, pochodząca ze starej i zasłużonej rodziny amerykańskiej, otrzymała staranne wykształcenie. Po ukończeniu studjów wyższych w Syracuse University, wyszła za mąż, i mieszkała na farmie (w majątku rolnym) swego męża. Wedle jej własnych słów, była wówczas tak dumna ze swej roli, a absorbujące ją sprawy domu i rodziny uważała za tak wzniosłe powołanie, że żadne niezaspokojone ambicje nie mąciły jej zupełnego zadowolenia. Lecz niewidzialna ręka Przeznaczenia, przyjąwszy postać niepowodzenia finansowego, zmusiła ją do pracy zarobkowej na stanowisku nauczycielki w małej szkole prowincjonalnej. W ciągu krótkiego czasu potrafiła tak podnieść poziom swej szkółki, że z końcem roku ofiarowano jej stanowisko okręgowego superintendenta szkolnego.

Nie można nie czuć podziwu dla tej kobiety, gdy się czyta jej bezpretensjonalnie skreślone wspomnienia. W ciągu dwuch lat, straciła sześć osób ze swej najbliższej rodziny, w tej liczbie męża i ojca. Nie poddała się jednak rozpaczy i przygnębieniu, ale szukając zapomnienia w pracy, poświęciła się całkowicie szkolnictwu. A musiała ta praca obfitować w elementy twórcze, skoro w parę lat później, władze szkolne stanu Nowy York wysyłając eksponaty na wystawę do San Francisko w r. 1915, z jej szkół wzięły wzór idealnej szkoły wiejskiej.

Z upływem czasu, horyzont jej pracy rozszerzył się. Widząc wielką potrzebę pracy oświatowej wśród ludności wiejskiej, zorganizowała w kilku powiatach akcję pouczania dla żon farmerów. Tu, z początku spotkała się z oporem i niechęcią, gdyż trzeba było przezwyciężyć konserwatyzm farmerów; zczasem niechęć ta przerodziła się w uznanie i popularność.

Widocznie praca pani Knapp zwróciła na nią uwagę, skoro Uniwersytet w Syracuse, tworząc nowy Wydział gospodarstwa domowego, zaproponował jej, aby stanęła na jego czele. Było to spełnieniem jej wieloletnich marzeń. Zabrała się do pracy z zapałem i z powodzeniem. Była zadowolona i pewna, że od tej pracy nic jej już oderwać nie zdoła.

Ale losy widocznie zrządziły inaczej. Bez swej wiedzy, zupełnie niespodziewanie, zostaje wybrana wiceprezesem powiatowej organizacji republikańskiej. Tu się zaczyna jej właściwa karjera polityczna, w ciągu której była wciąż przygotowana na spotkanie zawodów i rozczarowań, i nigdy ich nie doznała.

Na podstawie dziesięcioletniego doświadczenia w tej dziedzinie pracy, pani Knapp twierdzi, że mężczyźni zaangażowani w pracy politycznej są dla kobiet-nowicjuszek koleżeńscy i życzliwi, a jako ilustrację tego twierdzenia przytacza następujący fakt:

Gdy mianowano delegatów na zjazd stronnictwa republikańskiego w Saratoga, wszystkie mandaty dostały się mężczyznom, podczas gdy kobietom ofiarowano mandaty tytularne w charakterze zastępców, nie dające prawa czynnego uczestniczenia w obradach. Powód tego był jasny; kobiety były wówczas nowicjuszkami w polityce, więc nie mogąc poruczyć im odpowiedzialnych mandatów, chciano jednak dać im sposobność do uczestniczenia biernego i — uczenia się. Jednakowoż panie uczuły się dotknięte i przeważnie odmówiły przyjęcia tytularnych mandatów. Pani Knapp jednak swój mandat tytularny przyjęła i udała się na zjazd z tym rezultatem, że natychmiast kilku delegatów z jej powiatu ofiarowało się ustąpić jej swych mandatów, tak aby mogła brać czynny udział w obradach.

Szczytem politycznej karjery pani Knapp było osiągnięcie przez nią wysokiego wybieralnego urzędu sekretarza stanu w stanie Nowojorskim, jako pierwsza — i zdaje się dotychczas wciąż jeszcze jedyna — kobieta na takim urzędzie. W ciągu trzech lat swej kadencji wprowadziła wiele ulepszeń w maszynie biurokratycznej. W szczególności wiele rozgłosu i zadowolenia przyniosło jej przeprowadzenie spisu ludności w stanie Nowy York. Jako urzędników do sporządzenia spisu ludności pani Knapp zamianowała prawie wyłącznie kobiety, wychodząc z tej obserwacji, że mężczyźni, którzy zgłaszają się na kilkutygodniowe dorywcze zajęcie, są zazwyczaj miernej inteligencji, podczas gdy wśród kobiet rzecz się ma przeciwnie; im więcej kobieta rozporządza swym czasem, tem wyżej zwykle stoi intelektualnie. Nadzwyczaj sprawne przeprowadzenie spisu ludności potwierdziło jej rozumowanie.

WANDA RICHARD

CHCĘ dziś mówić o telefonach, a raczej o rozmowach telefonicznych.

Ale nie o paniach telefonistkach, gdyż temat ten jest wyczerpany we wszystkich krajach i językach. Zresztą, każda reguła ma wyjątki, więc i ta znana nam również je posiada, a ja właśnie tym uprzejmym i pojmującym dobrze swoje obowiązki wyjątkom nie chcę robić przykrości.

Pragnę zająć się abonentkami i abonentami sieci telefonicznych w stosunkach między sobą.

Nietylko przepisy telefoniczne, ale i dobre wychowanie nakazuje po uzyskaniu połączenia i upewnieniu się co do tożsamości numeru, podanie swego nazwiska. Bo przecież łącząc się z danym numerem, wiemy z kim mówimy, więc też prosta przyzwoitość wymaga by i ktoś wezwany do telefonu wiedział, kto się doń zgłosił. Upraszcza to także i skraca rozmowę.

Tymczasem zreguły dzieje się tak, że wezwany do telefonu zasypany bywa szeregiem pytań, na które chcąc nie chcąc odpowiada, wcale nie wiedząc z kim mówi.

Zapytanie o nazwisko jest najczęściej zbywane niechętnie jakimś wykrętem, albo wprost odsunięte nowem pytaniem. Wkońcu czasem podane, jakby ze wzruszeniem ramion nad nieuzasadnionem żądaniem.

A wszak prosta przyzwoitość nakazuje przedstawienie się, zupełnie tak jak w towarzystwie. To samo obowiązuje, gdy chodzi o jakieś informacje w interesach.

Panie nie uznają tego szlachetnego i rozsądnego zwyczaju prawie zasadniczo. Panowie dosyć często; po zapytaniu jednak skłonniejsi są od pań do odkrycia przyłbicy. A to przecież taki prosty, kulturalny gest, jak np. odwzajemnienie ukłonu.

Albo jeszcze inny, milutki zwyczaj pań. Gdy na dzwonek telefoniczny odezwie się ktoś inny z domowników, aniżeli oczekiwany, wówczas dyskretna pani milczy i pozwala, ażeby trudzona przez nią do telefonu osoba, która może oderwała się od jakiegoś pilnego zajęcia, od pracy umysłowej, trawiła drogi czas na bezowocnych usiłowaniach porozumienia się i uzyskania odpowiedzi. Sympatyczna pani wiesza wkońcu słuchawkę, nie wymówiwszy ani słowa, nie przeprosiwszy za inkomodowanie. Próby takie powtarza kilkakrotnie w ciągu wieczora, trzymając się ściśle reguły klasztornej O. O. Kamedułów.

Inną formą dręczenia telefonem swoich znajomych jest telefonowanie o niestosownych porach.

Oczywiście, wyłączam z tego określenia sprawy nagłe, niecierpiące zwłoki, terminowe, wzywanie lekarzy i t. p.

Mam znajomych, u których żaden obiad, żadna wieczerza nie przeminie spokojnie lecz przerywana jest kilkakrotnemi telefonami. Stale o tej porze znajomi dzwonią w sprawach najbłahszych, znając porządek domowy i wiedząc dobrze, że to właśnie pora posiłku. Z miłą dezynwolturą pytają: państwo przy obiedzie? Może (!) przeszkadzam? Ale bo to mi teraz najwygodniej załatwić...

A więc znowu ta barbarzyńska bezwzględność, która tylko o sobie myśleć każe, z pogwałceniem wygody i odpoczynku drugich. Bez zastanowienia się nad szkodą wyrządzaną zdrowiu, prawidłowemu odżywianiu się i nerwom w następstwie przerywanych posiłków.

Może te słowa przemówią do moich Czytelniczek i zwrócą ich uwagę na formę telefonowania.

KWESTJA nieodpowiadania na listy była już nieraz poruszana w naszem piśmie. Ludzie dobrze wychowani wiedzą, co o tem mają myśleć.

Ale jest w korespondencji pewna śmiesznostka, o której tu wspomnę. Szablonik, którym posługują się opieszali w odpowiedziach na listy, ludzie mający najszczerszy zamiar odpisania szybko, lecz — tak to jakoś z dnia na dzień schodzi.

Gdy więc wkońcu usiądą przy biurku i ze zgrozą spoglądną na datę listu, ogarnia ich zapał usprawiedliwiania się, umniejszenia winy, przeproszenia adresatki lub adresata.

I tu się zaczyna zabawna strona ich najlepszych chęci, wzruszająca jednomyślność w podawaniu powodu zbyt długiego milczenia. Prawie zawsze czytamy: przepraszam za zwłokę w odpowiedzi, ale naprzód chorowałam, a potem rekonwalescencja i t. d.; albo: przepraszam, że tak późno odpisuję, czego bardzo się wstydzę, ale dłuższa niedyspozycja i t. d. Niektórzy przechodzili właśnie jakieś cierpienie oczu, które już chyba jest najlepszem usprawiedliwieniem. Ale najżyczliwszą dla takich wyjaśnień i przeproszeń okazała się grypa, która, jak wiadomo, przebiega złośliwie i mimo, że pacjenci opuszczą łóżko, pozostawia przez czas dłuższy osłabienie i różne drobne dolegliwości. Można więc śmiało pisać: wprawdzie moja grypa dawno już przeminęła i nawet wychodzę, ale „pozostałości" i t. d. Tak, właśnie te pozostałości są najdokuczliwsze...

Napiszcie poprostu: przepraszam. Bez podania powodów. Może pierwszy raz przyjdzie to trudno, gdyż człowiek nawykowo już dodaje: *bo*, ale wierzcie mi, niepotrzebnie. Zwłaszcza, że te „bo" często kryją niezgrabne kłamstewko, które szybko na jaw wychodzi — i kompromitacja gotowa. Podczas gdy same przeprosiny najzupełniej wystarczają i nie narażają na żadne kolizje z prawdą.

Ale jeszcze prościej — rzecz jasna — byłoby odpisać w przyzwoitym terminie. Tylko to podobno najtrudniejsza sprawa.

NAJCZĘŚCIEJ może spotykaną — powiedzmy — niesfornością jest obarczanie drugich zleceniami, sprawunkami i załatwianiem najrozmaitszych czynności.

Jedzie ktoś do większego miasta, do stolicy, za granicę, a wpadnie na nieszczęsny pomysł opowiedzenia o tem — usłyszy z wielu stron: jak się to dobrze składa, bo mnie właśnie potrzeba pewnego sprawunku, to mi pani lub pan załatwi. Oprócz trudów i kłopotów, zwykle wyłożyć trzeba własne pieniądze, a sprawunek prawie nigdy nie zadowoli proszącego o kupno.

Dowie się ktoś, że jakiś znajomy lub znajoma zna wpływowe osobistości, to znów się „dobrze składa", bo właśnie potrzebna jest protekcja, poparcie, dobre słowo i t. p. za kuzynem lub kuzynką, za przyjacielem, za znajomym znajomego.

Pracuje ktoś w banku, to albo idzie się do niego, albo w krótkiej drodze telefonuje lub posyła bilet z prośbą o załatwienie pewnych formalności, o przypilnowanie i poparcie sprawy, o informacje i Bóg raczy wiedzieć o co jeszcze. „To drobnostka dla pani, a jabym musiała specjalnie się zbierać i wychodzić a może w dodatku czekać, dla pani zaś lub pana wszystko zaraz zrobią i ja czasu nie stracę. Zresztą nic się na tem nie rozumiem, nie wiem jak się zabrać do tego i t. d.

Czy taka pani lub pan zastanowią się nad tem, ile czasu rabują komuś w okresie urzędowania, na ile trudności i przykrych chwil narażają swoją ofiarę? To dlatego, że ktoś jest leniwy, wygodnicki i niezdara ma ktoś drugi ponosić słodkie konsekwencje?

Albo w rodzinnych stosunkach np. jak łatwo przychodzi spychanie różnych czynności na podatne do tego,

potulne ofiary: idziesz do miasta? a to doskonale, bo mi kupisz to a to, wstąpisz tam, nadasz list, pochodzisz po sklepach i wybadasz gdzie i po czemu możnaby dostać to lub owo. Albo: proszę cię pamiętaj, że mam złożyć pojutrze życzenia, przypomnij mi o terminie, przypomnij, że mam wysłać telegram, przypomnij mi o imieninach Iksa, zbudź mnie jutro o piątej, przypomnij mi, że mam zamówić bilety, zatelefonuj za mnie, wytłumacz mnie przed... i tak w nieskończoność.

Są kategorje ludzi, którzy ten moralny wyzysk, to bezkarne pasorzytnictwo, doprowadzili do mistrzowstwa. Bez zastanowienia czem jest takie obarczenie cudzej pamięci, takie zamęczanie swojemi sprawami uprawiają ów wstrętny, egoistyczny proceder z błogim spokojem. Im pod rozwagę podaję powyższe słowa.

OBSERWATOR

Z HIGJENY I KULTURY CIAŁA

WŚRÓD różnych przykazań higjenicznych głoszonych obecnie często w popularnych artykułach, odezwach, aforyzmach — brak mi uwag na temat wiosny w przyrodzie i reakcji organizmu ludzkiego.

Wiosna w przyrodzie należy do najczarowniejszych zjawisk tętniących radością życia, kiełkowania, rozkwitania, olśniewających przepychem barw i urokiem bujnej młodości.

Źródło tych sił ziemi leży w głębokim, pełnym odpoczynku, w całkowitem zawieszeniu wszelkich czynności na przeciąg długiego snu zimowego.

Stąd płynie jej żywiołowa siła rozrodcza, jej rozrzutne bogactwo i niczem niewysłowione piękno.

Na wiekuistem odradzaniu się przyrody, na jej wiosnach corocznych mamy najlepszy dowód i przykład, czem jest odpoczynek dla organizmów żywych.

Z nami, jakkolwiek jesteśmy cząstką przyrody i jej podlegamy nieuchronnie — jest nieco inaczej.

Zerwaliśmy z jej prawami i wykraczamy przeciw nim stale, a o prawdziwym odpoczynku pojęcia nawet nie mamy. W nerwowem tempie życia, w chorobliwym pośpiechu, w gonitwie od zajęcia do zajęcia, od rozrywki do rozrywki, rozkładamy bezradnie ręce i mówimy: trudno, ja nie mam czasu.

Otóż to „nie mam czasu" stało się przekleństwem okresu, w którym żyjemy, przekreśleniem higjeny, wypaczeniem części nocy na dzień, przyczyną wielu chorób, smutków i rozmaitych nędz życia codziennego.

Chroniczny brak czasu psuje wiele w naszem życiu, usuwa w cień mnóstwo piękna i cennych rzeczy, których nam dostrzec nie pozwala. Nie znamy siebie, nie znamy swoich najbliższych, nie orjentujemy się w tem, co się dokoła nas dzieje — bo na nic nam czasu nie staje.

A w takim trybie życia gdzież miejsce i czas na skupienie się, obserwowanie, na odpoczynek?

Brak odpoczynku prawidłowego, wymaganego przez organizm — bez względu na to czy człowiek ma czas, czy nie — podkopuje systematycznie nasze siły w ciągu całego roku i dlatego na wiosnę czujemy osłabienie, podczas gdy ziemię roznosi jej nadmiar.

Ziemia odpoczywała — myśmy się przemęczali.

Rzecz jasna, sen zimowy jest niepodobieństwem dla człowieka i nikt mnie chyba nie posądzi o podobne propozycje. Ale odpoczywanie, gdy zachodzi potrzeba tego, gdy pierwsze oznaki znużenia wystąpią, jest chyba dostępne dla większości ludzi.

Indjanie nazywają miesiące luty i marzec „słabemi miesiącami". Oni wiedzą o tem i otwarcie wyznają potrzebę wydatniejszego odpoczynku, nie żądając od siebie ani od drugich pracy równoznacznej z miesiącami poprzedniemi.

U nas nie zwraca się na to uwagi, nie zastanawia nad tem wcale; osłabienie pokonuje się wysiłkiem woli, a instynkt dopominający się o litość dla przemęczonego ciała, przytłumia się w karygodny sposób.

Dzięki tym nienaturalnym i niemoralnym warunkom istnienia, powstrzymujemy i zahamowujemy odradzające moce, niszczymy w zarodku cudowną, regeneracyjną siłę przyrody.

Zamiast się odnowić, nabrać świeżych sił na zapas, odporności i rozmachu do czynów, wleczemy za sobą ciężki łańcuch znużeń, przemęczeń, wyczerpań — i tak rozpoczynamy nową wiosnę.

Jakież lato, jesień i zima nas czeka, jakie przyszłe lata?

Czy nie w tem początek obumierania ciała, pochylonych ramion, siwych włosów i pomarszczonej skóry?

Zapewne, trwa to lata zanim pojawią się owe rezultaty, ale o ile lat później wystąpiłyby one, gdyby nie te zmagania się z prawami przyrody, ze zdrowym instynktem. Za chwilowe zwycięstwa wysiłków nerwowych, gorzką płacimy przyrodzie daninę.

W okresie wiosny kalendarzowej powinniśmy obserwować swój organizm, poświęcić mu trochę życzliwej, wyrozumiałej uwagi. Powinniśmy, mimo pozorów zdrowia, dać się zbadać lekarzowi, by wiedzieć w jaki sposób zużyć wywczasy letnie. Czy mamy się leczyć, czy tylko odpoczywać, gdzie wyjechać, by nie wybrać miejscowości nieodpowiedniej.

Zapobiegajmy w ten sposób chorobom, schorzeniom, nieodporności, ratujmy póki czas swoje i swoich najbliższych zdrowie. Wypoczywajmy, leczmy się, uodporniajmy organizm. Wszak znanym ogólnie faktem jest trudne przetrzymywanie wiosny przez jednostki osłabione, wycieńczone, wyczerpane.

Gromadźmy więc siły, zamiast je rozpraszać i trwonić.

Pozwólmy sobie na luksus przyznania się do znużenia i nie żałujmy czasu poświęconego na odpoczynek. Kapitał włożony w to przedsięwzięcie ratownicze oprocentuje się nam wysoko.

Pamiętajmy, że od wypoczętego ciała i umysłu zależy:
pełnowartościowość jednostki w społeczeństwie
wydatność pracy
a wreszcie: prawdziwa piękność.

Tak, szanowne moje Czytelniczki — prawdziwa, promienna piękność nie da się pomyśleć przy śladach znużenia, które natychmiast wyciska piętno na cerze, oczach i ruchach.

Kosmetyki nie pomogą, a nawet „nie trzymają się" na skórze zwiotczałej znużeniem. Instytuty piękności cośtam zasmarują, coś zakryją, naparzą, wymasują, zachwalą różne wody, kremy, wykonają efektowny maquillage, zrobią z Was interesujące i zwracające uwagę zjawiska, ale czyż to, co zwraca uwagę musi być dlatego piękne, czarujące? Często nawet przeciwnie bywa.

Pomyślcie zatem trochę nad wiosną — nad swemi ciałami, nad zdrowiem własnem i rodziny. Rezultaty będą nieraz niespodziane, ale w skutkach dobroczynne. Niejedno zło Was ominie i zostanie zażegnane, niejedna omyłka w wyborze miejscowości na pobyt letni.

Artykuł nudny i bez recept.

To prawda. Ale trzeba było raz i o tem pomówić, zwrócić uwagę.

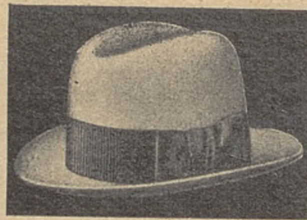
Kto wie, może znajdzie się chociaż jedna jedyna Czytelniczka, której oddam przysługę, która wdzięcznie się do mnie uśmiechnie za dzisiejszy artykulik.

A będzie to dla mnie i dla niej radość, gdyż uśmiech jest cudownym lekiem, odmładzającym, upiększającym.

Ale o tem już chyba innym razem. EFEB









COŚNIECOŚ DLA PANÓW



1

Wiosenny sezon zmusza mnie do przypomnienia się moim Czytelnikom i poinformowania ich o wszelkich możliwych nowościach z zakresu garderoby.

Przedewszystkiem chodzi o materjały, fasony okryć, ubrań, kapeluszy i t. d., co też kolejno przejdziemy w poszczególnych artykułach.

Materjały na okrycia są raczej gładkie, aniżeli wzorzyste, a to z tego powodu, że letnie ulstry zeszły na drugi plan, a palta zajęły pierwsze miejsce. Widzimy zatem palta miejskie przedewszystkiem z gładkich shetlandów w wszystkich odcieniach, a następnie popielate i bronzowe materjały delikatnie przetykane niteczkami stonowanemi.

Płaszcze na deszcz i niepewną pogodę są z gabardyny w jasnych tonach beige i popielatych.

Podróżne ulstry i sportowe okrycia lubują się nadal w kratach i wzorzystych materjałach, jednakowoż znacznie spokojniejszych, aniżeli w ubiegłych sezonach.

Nowością, coprawda nader luksusową, są komplety dla panów: okrycie i ubranie z tego samego materjału. Wątpię czy który z moich Czytelników pozwoli sobie na ten wybryk, ale nadmieniam o tem z obowiązku sprawozdawczego.

Fasony okryć wielorakie i każdy z panów może zadowolić swoje indywidualne upodobania. Jedno i dwurzędowe, z krytem zapięciem, krótkie i długie, jasne i ciemne, angielskie, raglany, luźne, lekko przylegające.

Ostatnią nowością jest palto dwurzędowe z dragonikiem na plecach (rys. 3), przyszytym na stałe i przytrzymującym drobne fałdki okrycia. Wyłogi szerokie, zapięcie na dwa dolne guziki, trzeci górny t. zw. ślepy. Materjał: angielska wełna.

Pozatem raglany jednorzędowe wysoko zapięte (rys. 2) bez wyłogów, z szerokim pasem w pasie obciśniętym, raglany z wyłogami i z krytem zapięciem (rys. 5), płaszcze jednorzędowe (rys. 4) kryto zapięte, długie, z kieszeniami nakładanemi, jak przy ulstrach. Następnie palto wizytowe, z gładkiego czarnego materjału, z aksamitnym kołnierzem. Zapięcie dwurzędowe, na trzy guziki, sięgające nisko, poniżej kieszeni; kieszonka na chusteczkę (rys. 1). Płaszcz bez zapięcia, przytrzymany tylko paskiem; wyłogi szerokie, kołnierz wykładany, przypięty dwoma guzikami z przodu. Ostatni szczegół ważny zwłaszcza dla automobilistów, którym wiatr nieraz zwiewa kołnierz na twarz. Rękawy raglanowe, kieszenie prostopadle zacięte. Pasek i brzegi płaszcza wystebnowane. Wykonany z gabardyny, podszytej materjałem impregnowanym (rys. 6).

Wkońcu klasyczne płaszcze deszczowe, luźne, bez pasków, jed-



1



2



3



4



5



6

norzędowe lub kryto zapięte, z kieszeniami zaciętemi prostopadle, wykonane z materjałów impregnowanych.

Drugim zkolei wiosennym zakupem jest kapelusz. Sprawa ta jest obecnie nieco utrudniona: moda wymaga stonowania. Zupełnie jak u pań.

Ponieważ bronzowy kolor w całej skali odcień stał się faworytem wiosenno-letniego sezonu, więc też mamy sporo modeli barwy bronzowej.

Kolory granatowy i stalowy godzą się z kapeluszami popielatemi, beige i bronzowemi.

Popielate kapelusze cieszą się nadal wzięciem, w tonach dyskretnych ciemnych i jasnych. Z ostatnich najnowszy odcień nazywa się „argento", z powodu srebrzystego nalotu na filcu. Opasany z reguły czarną wstążką, ale do ubrań granatowych można go opasać ciemno-granatową. Z wyjątkiem bronzowych okryć i ubrań nadaje się „argento" do wszystkich innych kolorów, tak że nazwano go uniwersalnym kapeluszem.

Chronicznie powtarzające się co sezonu próby z zielonym kapeluszem — stale zawodzą. Rzadko który z panów ryzykuje tę bąrwę trudną do stonowania z inną, zatem wymagającą odpowiadającego jej kolorem ubrania. O ubraniach marynarkowych, o obuwiu i krawatach pomówimy następnym razem. GENTLEMAN

PLOTECZKI O MODZIE

Nie przesadzajcie w długości sukien na ulicę — woła „Femina", najwytworniejsze żurnalowe pismo paryskie, które — samo często przesadza...

Pończoszki — zaczynamy z wiosną nosić nieco jaśniejsze, i t. zw. zadymione ustępują miejsca brunatnym.

Okrycia — są o każdej porze dnia i do każdej sukni niezbędne — wszystko jedno czy to będzie płaszcz, żakiet lub pelerynka.

Otwarty żakiecik — bluzka wsunięta pod pasek spódniczki, oto ulubiony, młodociany fason.

Codzienne suknie — lubują się w materjałach deseniowych, przetykanych kolorowemi nitkami, w kombinacji z gładkim płaszczem.

Obuwie — do sukien codziennych ma końce szeroko zaokrąglone, do popołudniowych i wieczorowych obowiązują węższe końce. Skóra wężowa, krokodylowa, zamszowa w połączeniu z rozmaitemi kolorami gładkich skórek i lakierem — daje piękne efekty.

Białe pantofelki — tak dawno niewidziane, wróciły do mody. Białe z bronzową skórką — do sukien codziennych i sportowych.

Kapelusze — muszą harmonizować z suknią, kostjumem, płaszczem; bywają zatem albo w kolorze materjału, albo w kolorze przybrania, lub też miewają główki wykonane z materjału.

Rękawiczki — przybyły do wszystkich luksusów mody i nadwerężają nasze skromne budżety, oszałamiając różnorodnością odmian, z których dla przykładu wymienię kilka. Rękawiczki na ulicę, białe do prania, albo stonowane, z zamszowej skórki. Duńskie, od czarnych począwszy, we wszystkich modnych odcieniach; czarne, ozdobione haftem kolorowym, aplikowane białą skórą — brunatne, skórą różową — zielone, białą i t. p. Wieczorowe, z duńskiej lub antylopowej skóry: czarne, zielone, beige, białe, perłowe, gołąbkowe, cieliste, ażurowane, haftowane, a najczęściej naszywane strasami.

Rękawki osobne — od dłoni poza łokieć, z tiulu, wypracowanego marszczeniem i bufkami, z wolancikiem opadającym na dłoń, wnoszą do wieczorowych sukien nowy pomysł kokieterji, i przy dekoltażu, z odsłoniętemi ramionami, wyglądają uroczo a może nawet niepokojąco.

Nierówny obwód — sukien strojnych wieczorowych utrzymuje się nadal, mimo różnych pogłosek, obok modeli zupełnie równych w obwodzie, bardzo długich. Przyznaję, że asymetrja obwodu wnosi wdzięk do długich toalet, które nie każdą kobietę ubierają.

W sukniach popołudniowych — rozróżniamy dwa typy: skromny, na zwykłe wizytki, i strojniejszy na oficjalne przyjęcia. Typ pierwszy zachowuje długość do połowy łydki — drugi typ musi być dłuższy.

Branzolet — nosimy znacznie mniej, wobec mody rękawiczek.

Czarny pasek zamszowy z klamrą strasową — do czarnych popołudniowych sukien.

Pelerynki — aż do znudzenia. Krótkie, półdługie, przyszyte na stałe, do odpinania, kołnierze imitujące pelerynki, podwójne pelerynki obejmujące tylko ramiona i mnóstwo innych odmian.

Pelerynki osobne — do odpinania, cieszą się dużem uznaniem modnych pań, pozwalają bowiem na nagłe efekty zmian. Wykonane z najrozmaitszych materjałów, stonowane z suknią lub nie, umocowane bywają w trojaki sposób: na szelkach, u wycięcia przy szyi na guziki, wreszcie związane na wydłużone, w kształt szarfy, końce peleryny.

Suknie codzienne — na przedpołudnie, do pracy zawodowej, wszystkie mają paski zapięte na klamrę, a same są zapinane na guziki zprzodu lub zboku. Pojawiły się garnitury złożone z klamry i guzików, albo z klamry i kokardki służącej jako broszka, lub z klamry i motywu do kapelusza. Wykonane z kości słoniowej, z drzewa ozdobnego, z jasnego metalu.

Broszki — ukazały się przy sukniach skromnych i strojnych; przy ostatnich muszą być z kamieni i materjałów szlachetnych, przy pierwszych muszą rysunkiem i wykonaniem przypominać prawdziwą biżuterję. Broszki w kształcie agrafy są najbardziej poszukiwane i służą do rozmaitych celów poza spięciem wycięcia sukni lub bluzki. I tak: do kapelusza jako klamra — do przytrzymania draperji — do ozdobnej torebki, jako motyw — zamiast butonjery przy popołudniowym tailleur — a nawet przy płaszczu na wyłogu.

Rękawy — a raczej ich długość uległa również zmianom. Mamy króciutkie rękawki, półdługie i trzy czwarte długości, co nie może dziwić wobec rękawiczek, których długość ma także kilka odmian. Krótkie rękawy zobaczymy przy letnich sukniach na ulicę, przy lekkich płaszczach i żakiecikach.

Jasna koronkowa bluzka — jest nieodzownem uzupełnieniem czarnego jedwabnego kostjumu na popołudnie i wieczór. Żakiet przybrany futrem.

Flamenga — jest ulubionym materjałem w bieżącym sezonie, oczywiście, prócz tweedu i jersey'u. Flamenga jest połączeniem wełny i sztucznego jedwabiu; ma delikatny połysk, miękki układ fałdów i nadaje się na suknie, kostjumy i płaszcze, które chcemy nosić przez cały dzień, zatem rodzaj garderoby określony jako: do wszystkiego, *pour tout aller*.

Tweed i jersey — na lato są tak cieniutkiemi materjałami, że mogą zastąpić najcieńsze wełenki letnie. Są też idealne na codzienny użytek. Zawsze tkane deseniowo. Grubszy tweed pozostał przy sporcie.

Wełniany kaszmir — jest przepiękną, cienką i miękką tkaniną, świetnie się układającą.

Woale jedwabne i wełniane — zastępują zeszłoroczną wełnianą żorżetę, gdyż są od niej ciensze, miększe i podatniejsze do tegorocznej suto-fałdzistej mody.

Płócienna i jedwabna pika — nadaje się na proste modele letnie, bez wolantów, kloszów, przybrań. Fałdy układane, kontrafałdy, stebny.

Suknie z linon i woskowanego batystu — na popołudniowe zabawy ogrodowe i dancingi. Bardzo niepraktyczne.

Kołnierz bluzki — wykładany na kołnierz żakietu. Wygląda to świeżutko i nader wdzięcznie, zwłaszcza gdy dołączy się do tego żabot. Rzecz jasna, że garnitur bluzki zależy od rodzaju żakietu, który zawsze jest szeroko rozwarty i ukazuje przód bluzki nawet wtedy, gdy ma pasek.

Garniturki „lingerie" — białe, bledziutko-różowe i jasnożółte, ale przedewszystkiem białe, najłatwiej i najmilej odświeżają każdą ciemną, a nawet każdą zeszłoroczną suknię.

Przeróbki — łatwe do przeprowadzenia przez połączenie dwóch materjałów.

Kostjumiki włóczkowe — nietylko do sportu, ale jako ubiór codzienny są bardzo modne. Desenie tweedowe przeważają. Żakiet i spódniczka taka sama, albo też żakiet odmienny. Bluzki do nich koszulkowe, wkładane pod pasek spódniczki.

Praktycznym pomysłem — jest wybór płaszcza z gładkiego materjału, gdyż może służyć do wszystkich sukien i stanowić komplet z suknią dobraną do tonu.

Czarny z różowym — oto połączenie kolorów konkurujące silnie z czarno-białą pasją. Podobno na Rywjerze roi się od takich kompletów rano i popołudniu.

Prawie każda suknia — ma jako uzupełnienie żakiecik, bolero, kamizelkę, płaszcz. Przy lekkich sukniach są żakieciki i kamizelki z rękawami.

Nietylko płaszcz, ale i żakiet — może być użyty do kilku sukien: wszystko zależy od stonowania i kolorów, pomysłowości i od rozważnego zakupna materjałów.

Markizeta kwiecista — przyjęta została do materjałów wieczorowych, i uznana za lepszą od gaze-chiffon. Co za rzadkie dobrodziejstwo mody, która przenosi tani materjał ponad drogi!

Czarne wełny nakrapiane białem — święcą triumfy w zakresie tkanin na płaszcze, suknie, kostjumy, komplety.

Groszki i duże grochy — najrozmaitszej wielkości są dalej modne, wbrew odmiennym zapowiedziom.

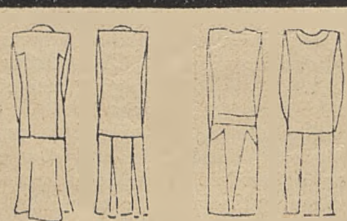
Charakterystyczną cechą — dzisiejszych płaszczy jest ich długość uzależniona od sukni: im dłuższa suknia, tem krótsze okrycie.

Kreton wzorzysty — na suknie w pełni lata znalazł poparcie krawców paryskich. Na rewjach przedstawiono modele z wzorzystego kretonu, proste w linji, najczęściej bez rękawów, zawsze przybrane białym kołnierzem. Korzystajmy ze szczęśliwego zbiegu okoliczności, który pozwala — bez uchybienia modzie — spełnić czyn patrjotyczny i nosić z wdziękiem krajowego wyrobu kretony, markizety, perkaliki. CAILLER-SOBAŃSKA

MODELE MÓD

WIOSENNE KOSTJUMY PRZEDPOŁUDNIOWE





1040 Kostjum z ciemno-bronzowego materjału jedwabnego lub wełnianego, nakrapianego kolorem beige, albo białym. Żakiecik zapięty na szereg guziczków, kieszenie nakładane; spódniczka kloszowa. Bluzka i rękawiczki w tonie nakrapiań.

1041 Kostjum z dwóch materjałów: z granatowego i jasnego deseniowego jedwabiu, z którego wykonany jest luźny żakiet, oraz krawat. Spódniczka ze wstawianemi godetami i z odcinaną bluzą.

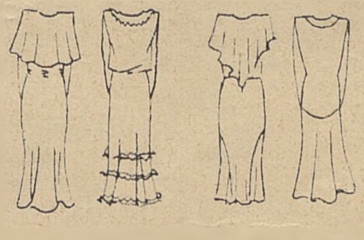
1042 Kostjum z jersey-tweedu. Żakiet wykończony plisą, zapięty u dołu na guziczki. Spódniczka po bokach lekko skloszowana.

1043 Kostjum z cienkiej jasnej wełny deseniowej. Żakiet luźny, bez zapięcia, spódniczka w kontrafałdy, biały dżemperek z jersey'u.

Wszystkie modele z wyrobów krajowych

LEKKIE SUKNIE PRZEDPOŁUDNIOWE NA LATO





1044 Suknia z krepy w deseń, krojem princesse, poszerzona w dole kloszami. Zamiast kołnierza pelerynka, spięta zprzodu barwną klamrą. Rękawiczki, podszycie kapelusza, pantofelki — stonowane.
1045 Suknia z krepy chińskiej w deseń, przybrana plisowaną riuszką. Pantofelki i opasanie kapelusza stonowane.
1046 Suknia z woalu w deseń, lekko zbluzowana, kołnierz w formie pelerynki na plecach, zprzodu przyszyty do sukni. Opasanie kapelusza, torebka i pantofelki stonowane.
1047 Suknia z lekkiego jedwabiu czarnego w biały deseń, krojem prostym, zbluzowanym. Na biodrach zacięcie, od którego spływa kloszowy wolant. Kołnierz z białej żorżety, nałożony na suknię, sięga zprzodu do pasa.

Najpiękniejsze materjały deseniowe mamy z krajowych fabryk



1048 1049 1050 1051



1018 Suknia z jasno-orzechowej krepy chińskiej, ozdobiona na staniku i spódniczce zakładeczkami. Stanik ztyłu silnie zbluzowany, skrzyżowany zprzodu. Wolant ukośno nałożony.

1049 Suknia crêpe satin w kolorze wiśniowym, nakładane plisy z materjału po stronie matowej. Pasek z klamrą emaljowaną.

1050 Suknia z żorżety perłowej; stanik skrzyżowany, wypełniony białą żorżetą. Pięknie pozacinana spódniczka ma po bokach bogate klosze układane w fałdy.

1051 Suknia z gaze-chiffon w kolorze czarnym. Na całym przodzie staniczka oryginalny żabot, sfalowany po lewej stronie. Spódniczka z wstawianemi kloszami.

Najszykowniejsze i najtańsze suknie szyjemy z krajowych materjałów





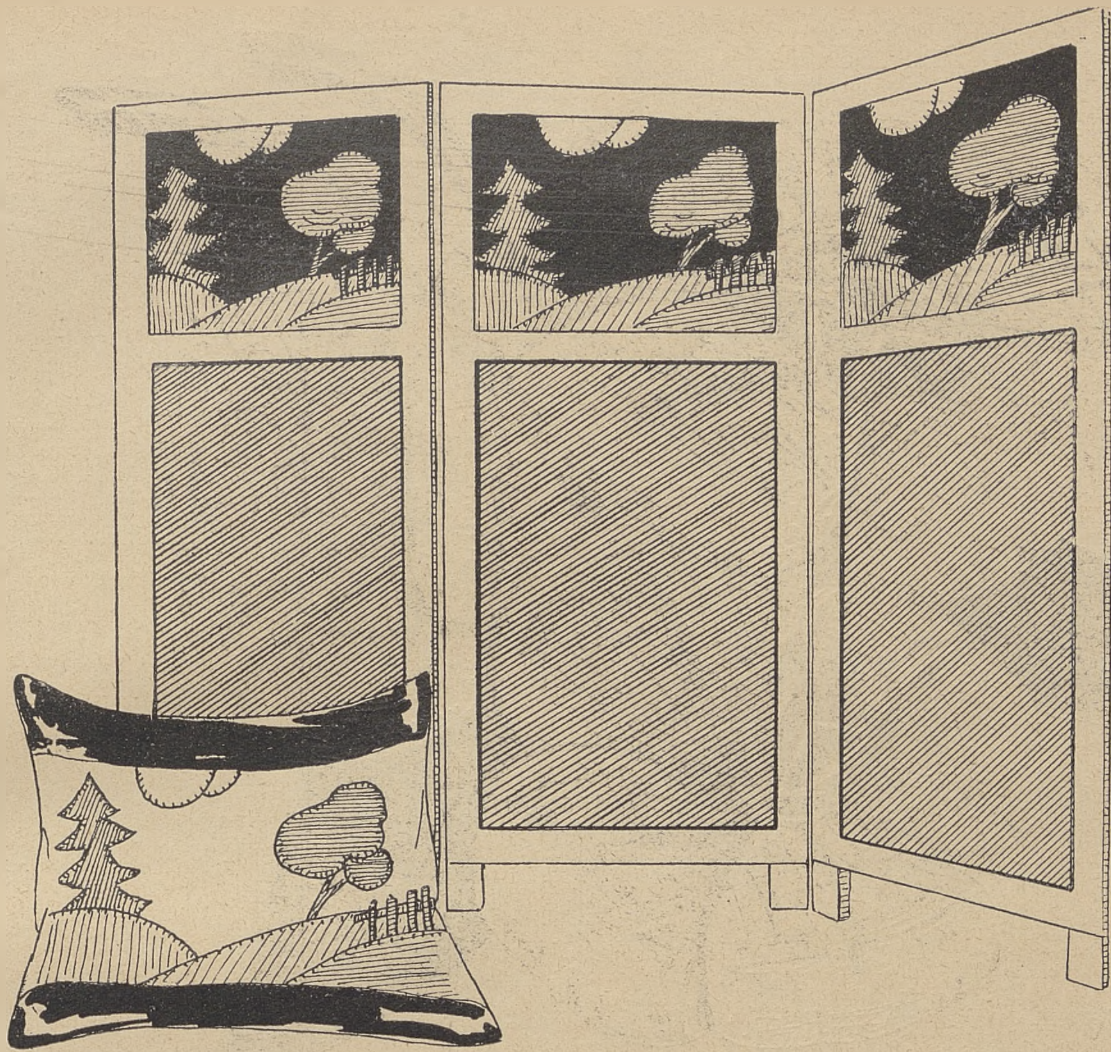
1052 Płaszcz z matowego popielatego jedwabiu, przybrany plisami. Bez zapięcia.
1053 Płaszcz z czarnego jedwabiu, zbluzowany, z kołnierzem i kwiatem z materjału wzorzystego. Ozdobiony zakładkami. zapięty w pasie na ozdobną klamrę.
1054 Płaszcz z granatowego jedwabiu, z pelerynką na plecach. Kołnierz wysoki, zakończony długiemi wyłogami zprzodu; zapięcie na jeden guzik.
1055 Płaszcz z ciemno-fiołkowego lub ciemnobronzowego jedwabiu, wykończony zakładkami. Przez kołnierz przeciągnięty pasek skórki gronostajowej. Bez zapięcia.

Kupujmy wyłącznie krajowe materjały



Rys. 293. — KAPKA NA WÓZEK DZIECIĘCY. Haft białym jedwabiem na batyście.

Proj. Alina Manelska



Rys. 295 Rys. 294

Rys. 294. — PARAWAN z motywem wykonanym aplikacją, malowaniem na materji albo na papierze jako „transparent", t. j. po malowaniu przepojone olejem. Kolory dowolne, np. niebo pomarańczowe, czerwone albo błękitne, do tego odpowiednio zharmonizowana zieleń drzew, trawy, oraz koloryt płotu.

Rys. 295. — PODUSZKA z tym samym motywem.



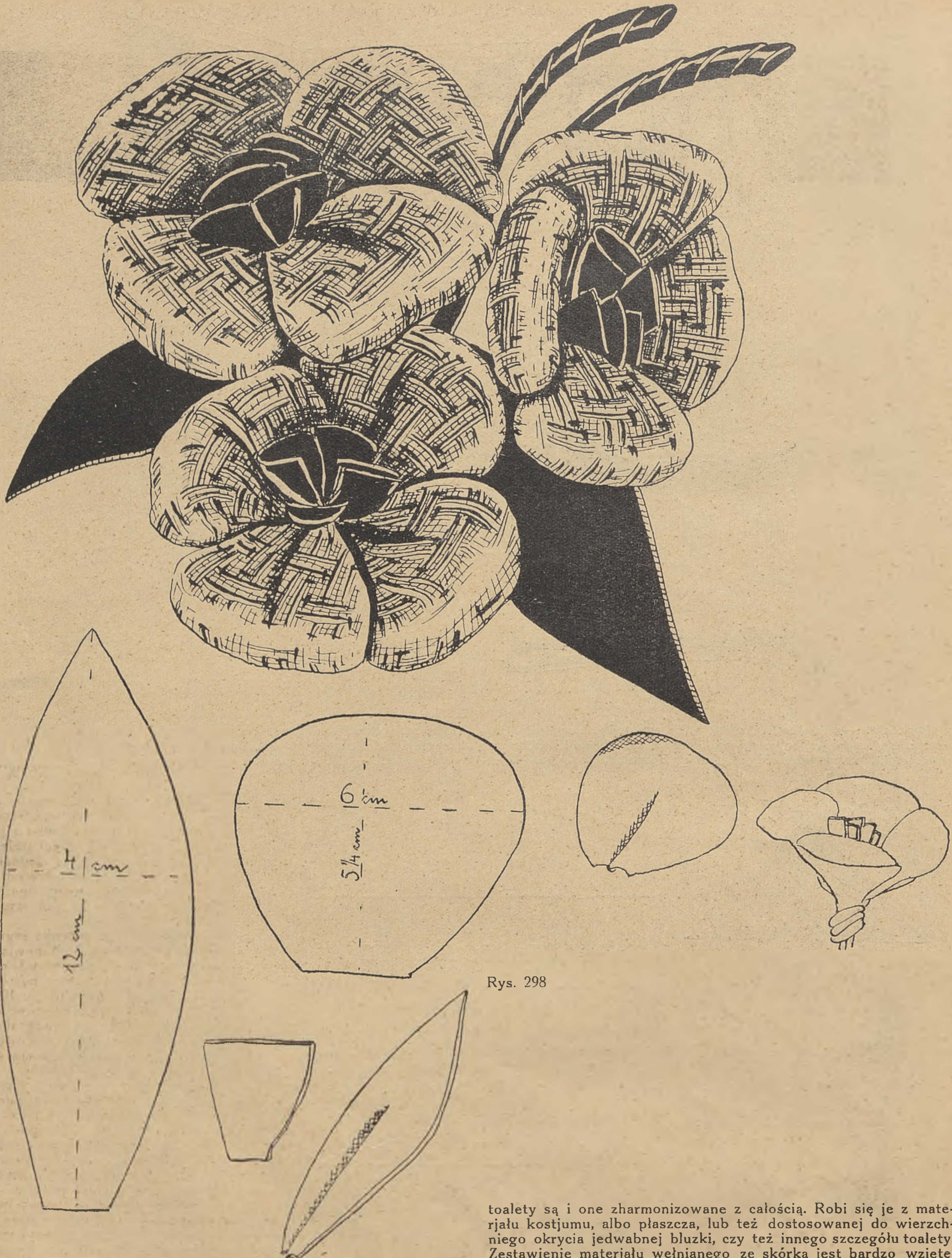
Rys. 296



Rys. 297

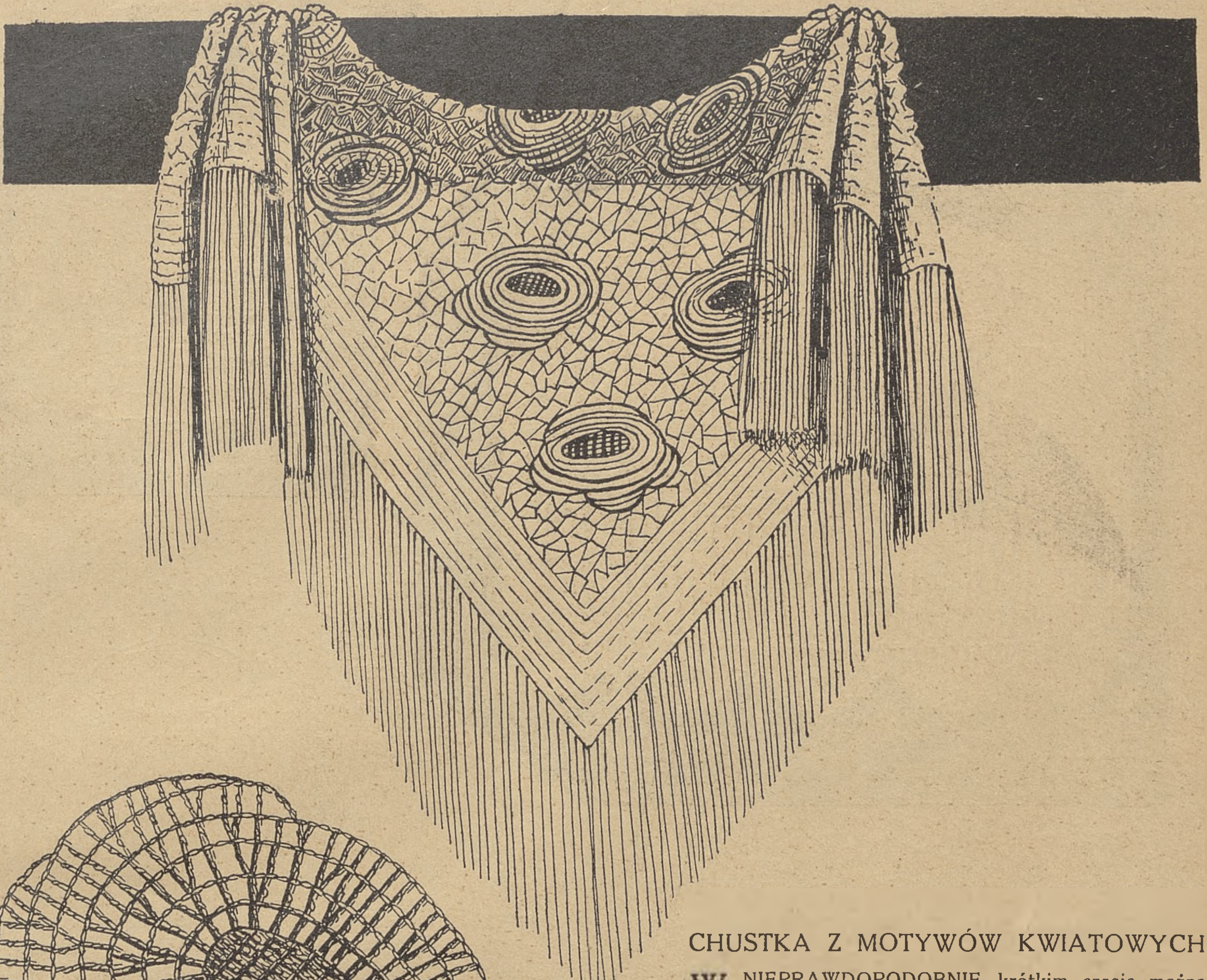
Rys. 296—297. — LAMPY DO DZIECIĘCEGO POKOJU. Toczone z drzewa i lakierowane.

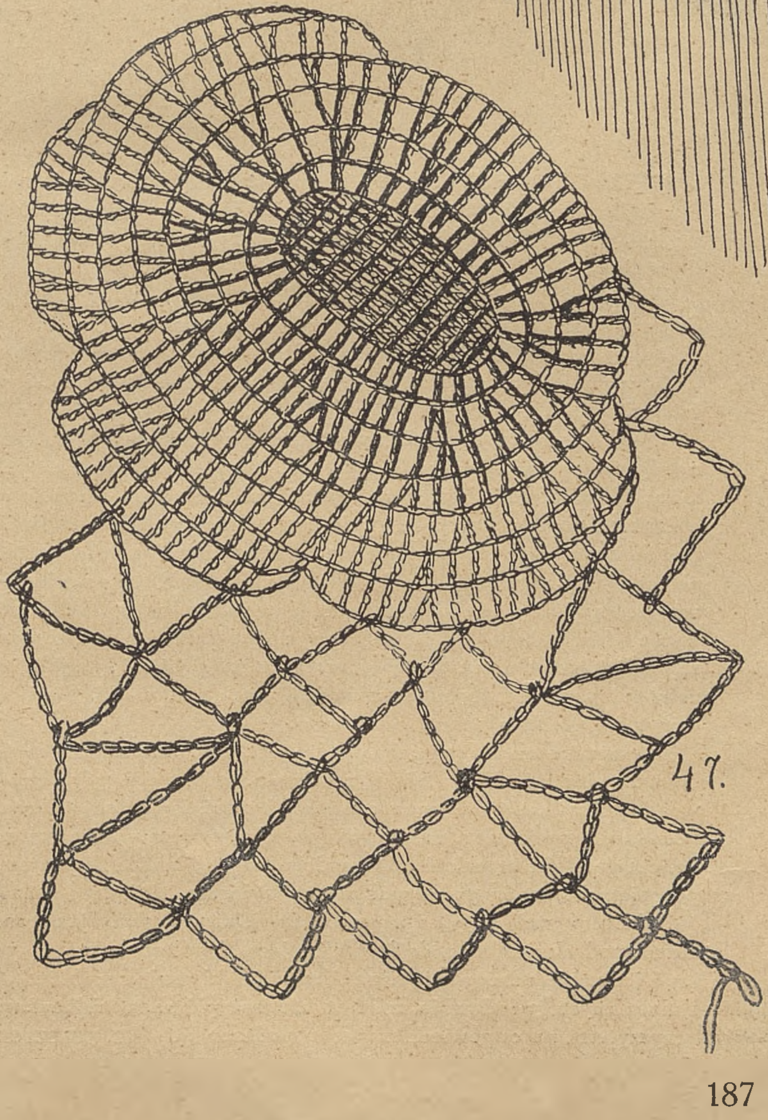
Proj. Alina Manelska



Rys. 298

Rys. 298. — BUKIET Z TWEEDU. Z satysfakcją witamy wskrzeszenie kwiatów do butonjerki. Wróciły do nas w skromniejszej szacie, mniej kolorowej jak dawniej. Tak jak wszystkie szczegóły toalety są i one zharmonizowane z całością. Robi się je z materjału kostjumu, albo płaszcza, lub też dostosowanej do wierzchniego okrycia jedwabnej bluzki, czy też innego szczegółu toalety. Zestawienie materjału wełnianego ze skórką jest bardzo wzięte. Listki kwiatów wycina się i podszewkuje stosowną podszewką jedwabną albo, jeśli materjał nie strzępi się, pozostawia bez wykończenia. Wykonanie kwiatów według rysunków nie przedstawia żadnych trudności. Proj. Z. K.





47.

CHUSTKA Z MOTYWÓW KWIATOWYCH

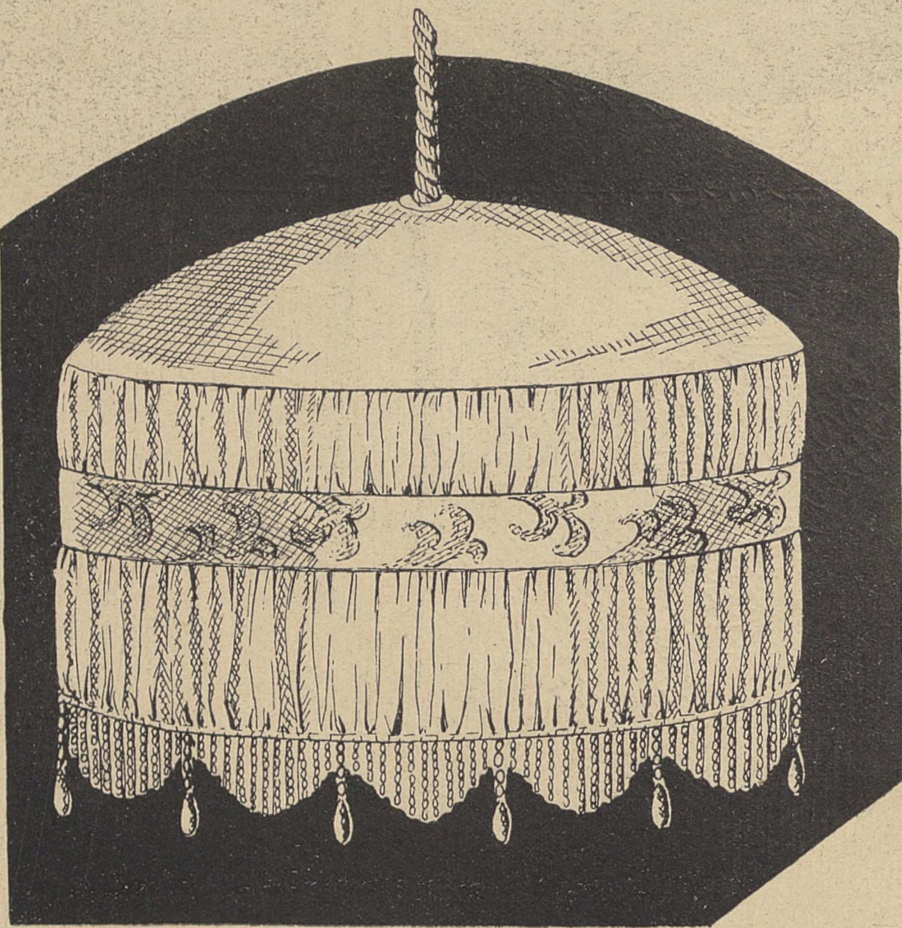
W NIEPRAWDOPODOBNIE krótkim czasie można skończyć chustkę trójkątną powyżej przedstawioną. Można ją wykonać z włóczki „sportowej", albo z jedwabiu. Dobór barw zależy od upodobania. Delikatnie i powiewnie wygląda chustka zupełnie biała, jednakowoż umiejętnie stonowana w odcieniach pastelowych może wywołać niezwykły efekt. Jaskrawe kolory opatrywują się zbyt prędko, dlatego zalecamy w tym względzie ostrożność.

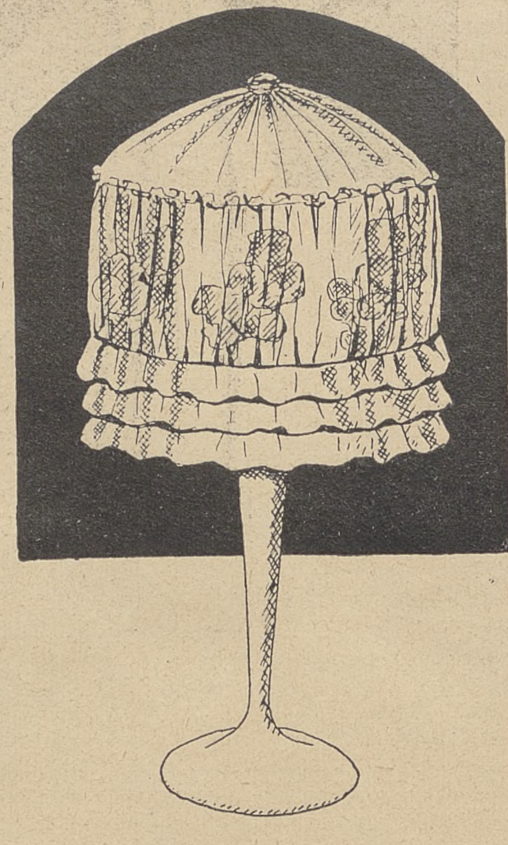
Motywy kwiatowe nie muszą być zupełnie regularne, co ogromnie ułatwia wykonanie. Środek stanowią same słupki, zaczynamy od 10 o. w p., pominąwszy 3, robimy w następne 6 słupków raz nawijanych. Przy następnych rzędach dodajemy stopniowo, aż dojdziemy do 10 słupków, zaś na końcu ujmujemy znowu do 6. Rzędów jest 11. Teraz można zacząć innym kolorem 4 rzędy słupków przedzielonych 1 o. w p., przyczem należy w dowolnych miejscach dodać tak, żeby motyw zawsze pozostał płaski. Następnie 2 rzędy słupków będą już niezupełne i zaczynają się od 4 o. w p. i kończą się tak samo 4 o. w p. i ścisłem oczkiem. Dalsze zaokrąglenia listków zależą od upodobania i składają się z jednego lub 2 a nawet 3 rzędów niezupełnych.

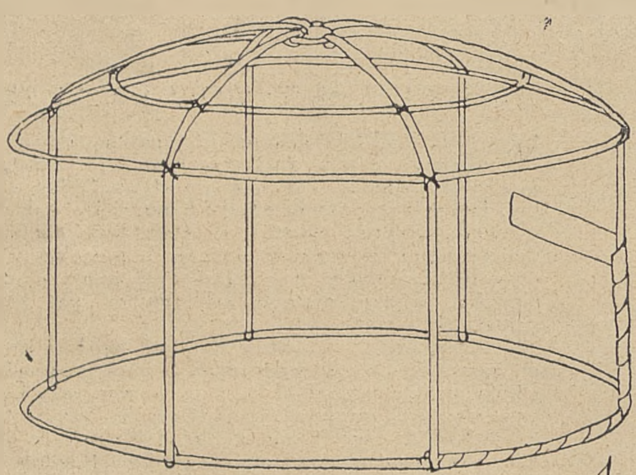
Po ukończeniu motywów, których jest mniej lub więcej, zależnie od tego, czy chustka ma być rzadka czy gęsta, należy skroić sztywny papier takiej wielkości, jaką ma mieć chustka, rozmieścić na nim motywy i przyfastrygować. Łączenie wykonywa się na sposób irlandzkich koronek, nierówną siatką z oczek w powietrzu przyczepianych ścisłemi oczkami do łuków już wykonanych (rys. 47). Zależnie od grubości włóczki robimy 7—12 o. w p. Wokoło szlak ze słupków w kolorze tła albo kwiatów, frendzle w kolorze tła.

Proponujemy: na tle popielatem, albo beige, kwiaty w tonach tęczowych, albo na czarnem tle żółte w kilku odcieniach. Najlepiej wygląda stonowanie od ciemnego środka coraz jaśniejszych kolorów do krajów zewn.

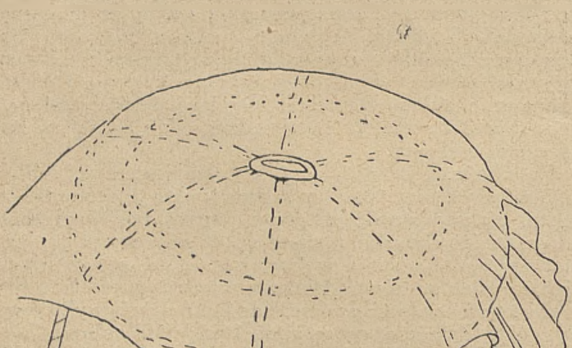
Z. KULCZYCKA







1.



2.

ABAŻUR

SPORZĄDZENIE obażura nie jest tak trudne, jakby się zdawało, a jednak niektóre panie nie mogą się zdobyć na odwagę, z obawy, że zepsują materjał. Dlatego podajemy model bardzo łatwy do wykonania, a przytem efektowny.

Wielkość zależy od upodobania lub potrzeby, dlatego nie podajemy dokładnych miar. Stelaż bardzo prosty składa się z obręczów połączonych pionowo względnie łukowo umieszczonych drutów. W miejscu skrzyżowania są one owiązane drucikiem i zalutowane (rys. 1).

Wpierw należy owinąć druciki paskiem ukośnego batystu, następnie pokryć białą podszeweczką, zupełnie gładko, z opalu albo jedwabiu, jeśli światło ma padać ku dołowi a nie przeświecać przez abażur. Łagodnie wzniesioną kopułę pokrywa się w zupełnie prosty sposób kwadratowym kawałkiem materjału, który zbiera się w miejscach ukośnych w drobne fałdziki prawie niewidoczne, jeśli materjał jest cienki i podatny, jak np. fular albo krepa chińska (rys. 2). Należy tak ułożyć materjał na już przyszytej podszewce, żeby ukosy wypadły na proste brzegi, t. zn. żeby fałdziki nie były ułożone na fałdzikach podszewki. Boki pokrywa się gładkim pasem podszewki.

Marszczone części jedwabiu, połączone bortą, haltowaną metalowemi nitkami albo ułożoną z koronki, przyszyć u góry nawywrót, potem ściągnąć mocno na dół i założyć na dolny obręcz. Frendzle z paciorków, nanizanych w zęby, tworzą wdzięczne zakończenie. Jeśli są zakończone ozdobną bortą, można je przyszyć po wierzchu, w innym wypadku przytwierdza się je od spodu.

Taki sam stelaż, tylko znacznie zmniejszony, służy jako podstawa pod abażur na małą lampę stojącą. Tu kopułę można pokryć jedwabiem ściągniętym na środku. Boki można zrobić z paska wzorzystego jedwabiu, zaś frendzle zastąpić trzema falbankami, przyszytemi na odpowiednim pasku podszewki.

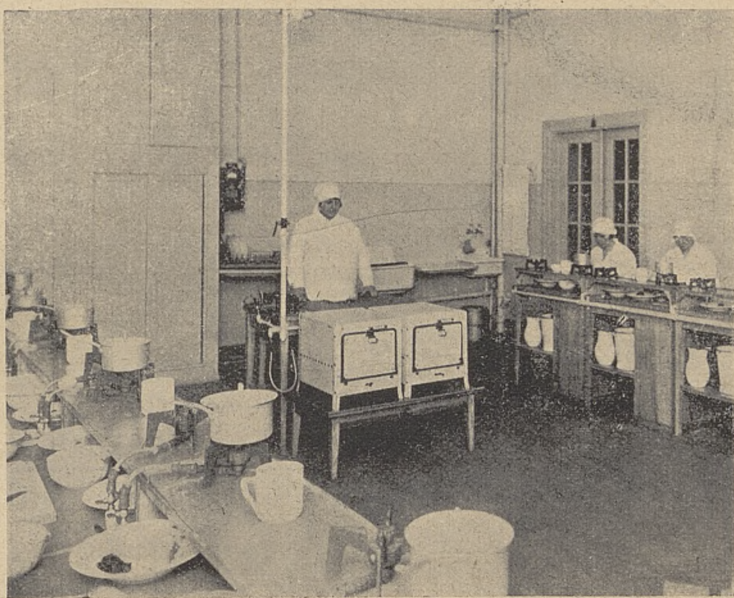
Z. KULCZYCKA

ORGANIZACJE GOSPODARSKIE KOBIET

Społeczeństwo odniedawna dopiero zaczęło uświadamiać sobie, że brak gospodarczego przygotowania wśród kobiet, odbija się fatalnie na całokształcie gospodarki krajowej. Dlatego też życie samo stworzyło niejako obronę przeciw grożącemu niebezpieczeństwu, w postaci krachu ekonomicznego — przez wzmożenie tętna życia organizacyjnego kobiet.

Organizacje kobiece są coraz liczniejsze i zaczynają obejmować coraz nowe dziedziny. O nowych, powstających placówkach nie mówi się już jako o ewenementach, lecz wciela się je z całym spokojem do całokształtu ruchu kobiecego.

Źle jest tylko, że ogół kobiet nie zawsze sprawiedliwe zajmuje stanowisko, wobec tych nowych ognisk pracy. Niektóre z tych organizacyj wybuchają nieoczekiwanie z tak dynamiczną siłą, że porywają od pierwszego momentu zetknięcia się z niemi, inne rozpoczynają swą egzystencję z trudem i trzeba wiele wytężonego wysiłku, aby zjednoczyć mogły należyty zastęp jednostek chętnych do pracy, zapewniających instytucji trwałość bytowania.



I. Kurs gospodarstwa przy pracy

Kobiety pochłonięte kłopotami dnia codziennego często nie zdają sobie sprawy z doniosłości i pożyteczności nieśmiałych poczynań nowych placówek, które przy odpowiedniem poparciu i zainteresowaniu się kobiet, stałyby się niewyczerpaną skarbnicą dla nich samych.

Do takich niedocenianych organizacyj należą przedewszystkiem stowarzyszenia gospodarcze, których na terenie Rzeczypospolitej mamy zresztą bardzo niewiele. Rada Naczelna gospodarczego wykształcenia kobiet pracuje specjalnie dla podniesienia poziomu gospodarstw kobiecych wiejskich. Instytut Naukowej Organizacji (Warszawa, Mokotowska 51/53) posiada Sekcję gospodarstwa domowego i wydaje jedyny fachowy miesięcznik poświęcony sprawom gospodarstwa pod nazwą „Organizacji gospodarstwa domowego". Wreszcie Koło Studjów Gospodarstwa Domowego (Warszawa, Marszałkowska 149), które istnieje od 1925 r. i jest jedyną organizacją mającą na celu zrzeszanie się pań gospodyń. Zagranicą niema gospodyń niezrzeszonych, posiadają one przytem całe szeregi stowarzyszeń, do których należą. U nas jednak hasła te nie spopularyzowały się jak dotąd należycie. Kobiety nie doceniają własnych korzyści jakie osiąga się przez zjednoczony wysiłek.

Koło S. G. D. ma za zadanie niesienie pomocy gospodyniom miast, jest jednostką prawną, na czele której stoi przewodnicząca p. Iza Mandukowa. Prace w Kole podzielone są na szereg sekcyj, których kierowniczkami są: prasy i propagandy — p. Marja Ankiewiczowa, służby domowej — p. Michalina Ulanicka, kulinarnej — p. Elżbieta Kiewnarska, mieszkań i urządzeń — p. Marja Chmieleńska, zakupów i rabatów — p. Aniela Rakowska, dochodów niestałych — p. Zofja Jasielewiczowa, wreszcie sekcja kursów gospodarstwa domowego — gdzie stanowisko kierowniczki na ostatnich wyborach odbytych dnia 12 marca r. b. nie zostało ustalone.

Z powyższego wyszczególnienia sekcyj łatwo jest stworzyć sobie obraz działalności Koła S. G. D. Pragnie ono przedewszystkiem szerzyć wiedzę gospodarczą wśród kobiet, co osiąga przez organizowanie kursów gospodarstwa domowego we własnym lokalu specjalnie na ten cel przygotowanym, gdzie nauka gotowania odbywa się na wzór zagraniczny, systemem jednostkowym.

Pozatem raz na miesiąc, w pierwszy piątek urządzane są zebrania plenarne dla członkiń. Na zebraniach tych wygłaszane są odczyty na tematy gospodarcze przez najwybitniejsze jednostki. Pogadankom tym towarzyszą zazwyczaj pokazy nowych przyrządów lub udoskonaleń technicznych, podawany jest szereg przepisów i wskazań kulinarnych, na zakończenie członkinie mają możność nabywania demonstrowanych przyrządów lub wypróbowanych produktów po cenach rabatowych.

Jak bardzo celowa i pożyteczna jest praca Koła, świadczy wciąż wzrastająca liczebność członkiń. Dążeniem Koła jest, aby ta placówka zjednoczyła wszystkie kobiety-gospodynie, aby stała się tak silna i wielka jak gospodarcze związki kobiet za granicą (w Niemczech przeszło 200.000 zrzeszonych), które wywierają wielki wpływ na czynniki rządowe i przemysłowe. U nas Koło Studjów Gospodarstwa Domowego jest jak dotąd jedyną organizacją, która podjęła troskę o popularyzowanie wśród zastępów kobiecych wiedzy gospodarczej i haseł ekonomji społecznej. Nie powinny więc kobiety polskie patrzeć obojętnie na wysiłki małej garstki dobrze czyniących, lecz obowiązkiem ich jest stanąć ramię przy ramieniu do wspólnej pracy.

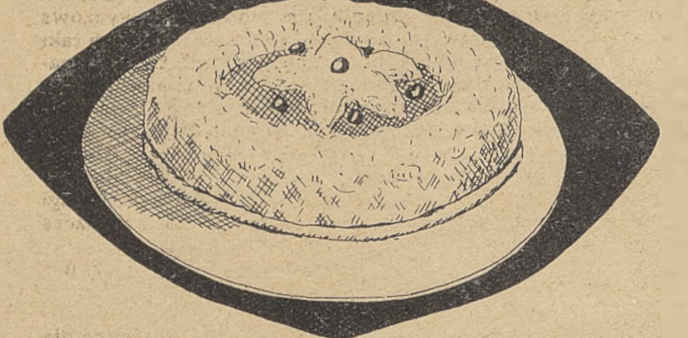
Te zaś, z pośród kobiet, które z jakichkolwiekbądź powodów nie stać na współpracę, niechaj obecnością swą zadokumentują solidaryzowanie się z instytucją, a przecież na uczestniczenie w zebraniu raz na miesiąc i opłacenie składki w kwocie 1 zł każda z pań zdobyć się może. Tem bardziej że złotówka ta opłaci się sowicie, ponieważ legitymacja członkowska uprawnia do nabywania w 32 firmach po cenach rabatów rozmaitych towarów oraz produktów.

Poza temi udogodnieniami, Koło zdąża do ujęcia całokształtu naszego życia gospodarczego w pewne określone normy. Pragnie uregulować tak bardzo zachwiane ostatnio stosunki służbowe między pracodawcami a pracownikami domowymi, nakoniec usiłuje ożywić produkcję przemysłową kraju oraz uzdrowić handel. Nową instytucją niedalekiej przyszłości jest Instytut Gospodarstwa Domowego, którego gmach buduje się i ma być wykończony we wrześniu b. r. Członkinie Zarządu Koła S. G. D. weszły w skład Zarządu tej wielkiej organizacji. Wspierając się wzajemnie, przyczyniamy się do tężyzny naszego kraju.

MARJA ANKIEWICZOWA

DOBRA GOSPODYNI

popiera wyroby krajowe





Jakkolwiek zwyczaj święcenia stołu świątecznego coraz bardziej zanika, pozostaje tradycja przygotowania na okres Świąt Wielkanocnych zimnego mięsiwa i ciast, oraz tortów. Jedni trzymają się stale swoich wypróbowanych starych przepisów, inni chętnie próbują nowych i dla tych ostatnich podajemy 2 przepisy na zimne mięsa i kilka rodzajów ciast i tortów.

NADZIEWANA GŁOWA WIEPRZOWA Z AUSZPIKIEM. Głowę młodego wieprza niezbyt krótko odrąbaną sparzyć, zaciąć od spodu. Wyjąć ostrożnie tem zacięciem kości, wyciąć ozór i ugotować na pół miękkości. Głowę bez kości rozłożyć tak, żeby grubsze warstwy dały się plasterkami wyciąć. Pozostałą głowę posolić, popieprzyć, obłożyć plasterkami cebuli, pietruszką, macierzanką i bazylkiem i tak marynować przez dobę. Zemleć 1 1/4 kg wieprzowiny i 37 dkg słoniny, posolić, popieprzyć, dodać 12 szalotek, łyżkę kaparków, skórkę z cytryny, wszystko posiekane i lekko przysmażone na maśle. Pokrajać w kostkę ugotowaną

i wystudzoną słoninę przerastałą 25 dkg, kawałek wędzonego ozora, kilka korniszonów i dodać do farszu. Następnie zdjąć z głowy cebulę i zioła, posmarować wewnątrz jajkiem, nałożyć wycięte plasterki mięsa, na to farsz, zeszyć, włożyć do serwety, związać, nadając pierwotny kształt, przyczem uszy powinny wystawać i gotować przez 4 godziny w rosole przygotowanym z wyjętych kości, włoszczyzny, korzeni i 1 1/2 kwaterki octu winnego. Gdy głowa ostygnie w rosole, wyjąć, zaś rosół po odtłuszczeniu sklarować i zastudzić. Tym auszpikiem pięknie przybrać głowę i podać z sosem „remoulade": 4 żółtka przetrzeć, utrzeć ze stopniowo dodawaną skąpą kwaterką oliwy, 2 łyżki musztardy, soli, pieprzu ang., łyżeczkę cukru, 1/2 łyżki posiekanego szczypiorku, kwaterkę octu i sok z 1/2 cytryny, posiekać kilka listków zielonej pietruszki, skórkę z 1/2 cytryny, 6 sardelek, małą cebulkę i wszystko wymieszać.

NADZIEWANY MOSTEK CIELĘCY. Rozłożyć cały mostek, posmarować jajkiem i posypać solą i pieprzem. Zemleć 1 1/4 kg wieprzowiny, 37 dkg słoniny, posolić i popieprzyć, posiekać 10 szalotek, skórkę z 1/2 cytryny, łyżkę kaparków, zasmażyć na maśle i dodać. Gotować 1/8 kg słoniny przez 15 minut, pokrajać w kostkę, tak samo 6 korniszonów, kawałek wędzonego ozora, kilka trufli, wymieszać wszystko i równo wyłożyć na mostek. Zwinąć, związać, ułożyć w brytwannie, zalać tłustym rosołem, dodać włoszczyzny, korzeni, skórki i soku z 1/2 cytryny i gotować przez 2 godziny. Gdy wystygnie w rosole, wyjąć, ścisnąć między dwiema deseczkami. Pokrajać w równe plasterki, przybrać auspikiem i podać z sosem jak wyżej.

MAZUREK Z RODZYNKAMI. Rozczynić ciasto drożdżowe z 1 kg mąki, 4 dkg drożdży, 4 łyżek masła, 15 dkg cukru, szczypty soli i odpowiedniej ilości mleka. Ubijać przez dłuższy czas i odstawić, żeby wyrosło. Rozwałkować, ułożyć na blachach, przykryć i odstawić na 1/2 godz. Utrzeć 6 łyżek masła, 8 żółtek i skórkę cytrynową, dodać nakoniec pianę z 8 białek. Posmarować tem ciasto, zostawiając brzeg na 1/2 cm szer., posypać rodzynkami bez pestek i drobnemi czarnemi, migdałami pokrajanemi w paski, nakoniec cukrem z cynamonem i upiec.

WYBORNY TORT Z CYKATĄ. Zwilżyć 8 łyżek przesianej bułeczki odrobiną białego wina i łyżką rumu. Utrzeć 8 żółtek z 22 dkg cukru, dodać sok z cytryny i odrobinę skórki i trzeć jeszcze przez chwilę. Posiekać drobno 12 migdałów, 6 dkg cykaty i 6 dkg smażonej skórki pomarańczowej, dodać szczyptę cynamonu i goździków i wszystko razem wymieszać, dodać zwilżoną bułeczkę, na koniec noża proszku drożdżowego, pianę z 8 białek, włożyć do wysmarowanej formy i piec przez 40 min. Gdy wystygnie, polukrować lukrem cytrynowym i przybrać cykatą i skórką pomarańczową.

TORT ORZECHOWY NA KRUCHEM CIEŚCIE. Zamiesić kruche ciasto bez jaj z 15 dkg mąki, 9 dkg masła i 8 dkg bardzo miałkiego cukru. Wyłożyć niem tortownicę i upiec na jasny kolor. Gdy ostygnie, zwilżyć wiśniakiem. Utrzeć 50 dkg orzechów laskowych, zmieszać z 50 dkg mączki cukrowej i 2 białkami. Masę tę nałożyć na upieczony spód, zrobić z niej ozdobny brzeg i środek. Postawić do niezbyt gorącego pieca i lekko przesuszyć.

TORT KAWOWY. Ubić 2 jaja i 5 żółtek z 18 dkg cukru, dodać skórkę z 1/2 cytryny, 8 dkg obranych posiekanych migdałów, 6 dkg mąki, włożyć do tortownicy i upiec. Utrzeć lukier z 15 dkg cukru zagotowanym do nitki, dodać 1/3 szklanki mocnej esencji kawowej i polać tym lukrem tort.

DOSKONAŁY KRUCHY TORT. Utrzeć 1/4 kg masła, dodać stopniowo 6 żółtek i trzeć jeszcze przez 30 minut. Następnie dodać 1/4 kg tartych migdałów, łyżeczkę cukru waniljowego, skórkę z pomarańczy i cytryny i 27 dkg mąki. Z tej masy upiec 3 krążki posmarowawszy je białkiem. Po ostudzeniu złożyć marmeladą i polukrować. Przybrać serkami owocowemi.

EKSTRAKT BULJONOWY. Wszelkie części mięsa, których nie można użyć na inny cel, chrząstki, kostki, żyły zrumienić z cebulą w własnym soku, dodać wody i długo gotować. Nakoniec odcedzić i posolić, jeśli ekstrakt nie jest jeszcze dość gęsty, podobny do galaretki, gotować go jeszcze. Zlać do małych kamiennych garnuszków, na wierzch nalać trochę tłuszczu t. j. łoju albo smalcu dla uszczelnienia. Po każdem nadebraniu rozgrzać i dodać odrobinę tłuszczu. W ten sposób można ekstrakt bardzo długo przechowywać. Służy on do poprawiania zup, sosów, jarzyn, do glacowania i t. p.

SAŁATA Z KISZONEJ KAPUSTY. Odcedzić kapustę, pokrajać cebulki, wymieszać, dodać oliwy. Można dodać śledzia drobno pokrajanego i kilka ugotowanych i pokrajanych kartofli.

EMALJOWANE CZYLI POLEWANE NACZYNIA czyści się doskonale utłuczonemi łupkami z jaj i wodą z mydłem.

PAPIER KREDOWY, na którym drukuje się czasopisma, okałdki i t. p. i który źle się spala, może być użyty zamiast ściereczek do czyszczenia metali. Uzyska się tym sposobem zdumiewający wprost połysk przy bardzo małym wysiłku.

NIKLOWE NACZYNIA najlepiej zmyć gorącą wodą bez dodatków i wytrzeć miękką ścierką. Przez czyszczenie pastami i tp. środkami tracą swój specjalny połysk.

PRZEDMIOTY NIKLOWE, których się przez pewien czas nie używa, chroni się przez powleczenie kolodjum.

Higjena skóry głowy

Ze wszystkich części ciała ludzkiego wydziela najobficiej skóra głowy oleisty tłuszcz. W rzadkich tylko wypadkach napotyka się suchą skórę głowy. Oleisty tłuszcz jełczeje łatwo w temperaturze ciała, a do szybkiego jełczenia przyczyniają się włosy i nakrycie głowy. Proces jełczenia polega na tworzeniu się kwasów tłuszczowych które warunkują stan zapalny skóry w postaci łupieżu, wyprysków, swędzenia i przenikliwej woni, którą wyczuwa się nawet z odległości. Łatwo zrozumieć, jak szkodliwie stan taki działa na korzonki włosów, jak niszcząco wpływać musi namaszczanie włosów tłuszczami. Zapobiec można wzmiankowanym przypadłościom, a zarazem zupełnie **odwonić** skórę i włosy — **zobojętnieniem** kwasów tłuszczowych. Ani mydłem, ani żółtkiem nie osiągnie się celu, jedynie tylko częstem myciem **Shampoonem Dra Lustra,** który dostosowany jest ściśle do wydzielniczych funkcji skóry głowy oraz do koloru włosów. Uwagi powyższe powinni przyswoić sobie też i — mężczyźni, zwłaszcza przy sporcie.

1071 Dr Z. B.

TOWAROZNAWSTWO

Tapety są imitacją obicia ścian z jedwabiu, gobelinu albo tańszych tkanin jak np. kretonu. Na takie obicia mogli sobie oczywiście pozwalać tylko zamożni ludzie, to też kiedy wyroby z papieru zaczęły się rozpowszechniać, pokrywano niemi ściany. Obecnie jednak nietylko w siedzibach zamożnych starych rodów można się spotkać z tego rodzaju obiciem ścian. Luksus mieszkaniowy za granicą nie ogranicza się do tapet z papieru. W prywatnych domach narówni jak w luksusowych kamienicach można spotkać obok ścian artystycznie malowanych także ściany powleczone materjałami więcej lub mniej kosztownemi. Do tanich należą specjalne kretony oraz tkanina jutowa zafarbowana na różne kolory, albo drukowana w różne wzory. Przytwierdza się je do ścian zapomocą listewek z drzewa.

Z punktu widzenia higjenicznego, takie powleczenie ścian nie jest korzystne. Nadaje się chyba tylko do domów prywatnych,

niestosowne jednak do kamienicy, w której lokatorowie zmieniają się co pewien czas. Nie można się też obyć bez odkurzacza, gdyż w porach tkanin kurz osiada z łatwością i trudno go stamtąd usunąć.

Wobec tego, że u nas mało kto może sobie pozwolić na taki luksus, nie rozwodzimy się nad różnemi gatunkami; wspomniemy tylko, że wyroby jutowe stosunkowo niedrogie, a przytem trwałe, przewyższają tapety tylko nieznacznie ceną, są więc dostępne dla szerszych mas.

Do harmonijnego wyglądu wnętrz przyczynia się w znacznej mierze odpowiednio dobrane przykrycie posadzek. Po parkietach z twardego drzewa najwykwintniejsze są podłogi całe wysłane linoleum jednobarwnem albo drobno-wzorzystem, na którem dywany uwydatniają się tak jak na parkietach. Oczywiście podłoga pod takiem wysłaniem, przyklejonem na stałe, musi być idealnie równa i sucha. Nie nadaje się ono więc do pokojów nieco wilgotnych, jak np. parterowych nieizolowanych od podmurowania.

Linoleum jest to miał korkowy zmieszany z olejem lnianym, nałożony na tkaninę jutową i przyprasowany na niej pod bardzo silnem ciśnieniem. Im grubsza warstwa tej masy, tem lepszy gatunek linoleum, co można stwierdzić w przekroju. Rozróżniamy linoleum z nadrukowanym wzorem i linoleum „inlaid", o wzorze zabarwionym nawskroś. Ostatnie jest oczywiście daleko droższe, ale zato nie zmienia się do ostatka, gdy przeciwnie nadrukowany wzór szybko sięściera. Tu również w przecięciu poznać można, czy wzór przechodzi aż do tkaniny jutowej.

Dywany i chodniki z linoleum nie są stosowne do wykwintnych pokojów; nadaje się tylko do przedpokojów, pokojów dziecięcych, łazienek i skromnych poczekalń oraz — ze względów higjenicznych — do pokojów ordynacyjnych lekarzy. Gdzie dużo osób, zwłaszcza dzieci, zasiada do stołu w pokoju jadalnym, nie obejdzie się również bez linoleum, bo inny dywan uległby prędko zniszczeniu.

Rogi dywanów z linoleum szybko się niszczą, dlatego dobrze kupować zaopatrzone w metalowe ramki.

Częste zmywanie wysusza linoleum, dlatego należy je po umyciu woskować jak parkiet, a co pewien czas natrzeć olejem lnianym.

W V Almanachu znajdą Czytelniczki dokładniejsze szczegóły o dywanach. Tu pokrótce tylko wymienimy kilka odmian i ich cechy charakterystyczne.

Dywany ręcznie wiązane jak perskie, smyrneńskie, bucharskie i t. d. są bardzo kosztowne i dlatego nie można ich kupować bez porady rzeczoznawcy. Od wyrabianych maszynowo pozna je laik głównie po tem, że zawierają węzełki a niektóre odmiany koniuszki nitek urywane po stronie odwrotnej. Charakterystyczne wzory wschodnie, jak np. amplę na modlitewnikach perskich, koloryt i technikę wschodnich dywanów naśladuje się z powodzeniem w Europie; do nas przychodzą takie imitacje głównie od zachodnich sąsiadów. Znawca odróżni je od prawdziwych wschodnich wyrobów. Co do jakości odróżniają się wiązane dywany nietylko użytym materjałem, ale głównie ilością węzełków na metr kwadratowy, których jest w przeciętnych po 400, zaś w kosztownych dochodzą do fantastycznej sumy 800.000!

Strzyżone dywany wyrabiane maszynowo różnią się także co do jakości. Cenniejsze wyroby mają nitki przewleczone nawskroś, tak że na odwrotnej stronie widać wzór, np. dywany Kashar i pluszowe; inne znowuż mają pętelki naszyte po wierzchu, przyczem strona odwrotna pozostaje bez wzoru, np. Axminster. Brukselskie dywany mają nierozcięte pętelki, podobnie lichsze od nich Bouclé, których pętelki jednakowoż są niższe i mniej delikatne.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

MIMOZA. — Tak obszernej odpowiedzi, jak wymaga list Pani, w druku podać nie możemy. Zechce Pani przeczytać artykuły w n-ach 2, 3, 4 z r. 1928 pod tytułem: Pielęgnowanie tłustej cery. Są tam fachowe objaśnienia i recepty. Przy sposobności zaznaczamy, że nie zajmujemy się leczeniem. Bez zbadania zaś nie zajmie się niem na odległość także żaden lekarz.

PANI S. — Możemy Panią poinformować, że wyjazd za granicę jest zbędny, gdyż w pobliżu zamieszkania Pani jest zdrojowisko zalecone na kurację dla męża Pani. Jest niem Morszyn obok Stryja w Małopolsce wschodniej, miejscowość położona w pięknej podgórskiej okolicy. Stacja kolejowa, poczta, telegraf, telefon na miejscu. Wedle orzeczenia lekarzy jest to polski Karlsbad, posiadający świetne warunki rozwoju. Niestety, nie umiemy się tak reklamować jak zagraniczne zdrojowiska i stąd nawet w Polsce mało kto wie o tym zakładzie. Wskazania lecznicze: choroby przemiany materji, żółci, wątroby, otyłość, cukrzyca, artretyzm, reumatyzm. Sezon trwa do 25 września. Borowina i obfite źródła wody słono-gorzkiej są pierwszorzędnej wartości. Zamiast więc wydawać duże sumy na wyjazd za granicę, korzystniej będzie dla zdrowia, kieszeni i kraju wybrać się do Morszyna.

P. PRZETOCKA. — Nie możemy wyliczyć wszystkich artykułów wraz z cenami, o które Pani pyta. Najlepiej zapytać ustnie lub telefonicznie firmę A. Prevendar, Lwów, pl. Bernardyński 5, która posiada w swym salonie fryzjerskim wszystkie zagraniczne i krajowe kosmetyki, słynne już dziś okłady, czy też maseczki parafinowe, środek do przyciemniania brwi i rzęsów na stałe, perfumy i t. p. Trwała ondulacja i farbowanie włosów na wszystkie odcienie wykonywane ze znawstwem nabytem za granicą.

PANI DOMU. — Jesteśmy zdania, że wobec trudnych warunków, które wytworzyły się z powodu braku książeczek służbowych u służby domowej, mamy prawo pytać, informować się u poprzednich pracodawczyń o tem, kogo bierzemy do domu, komu powierzamy dom i zawarte w nim mienie. Oczywiście, informacje powinny być ścisłe i bezstronne, bez cienia niechęci. Jedna i ta sama służąca może w jednym domu być nieodpowiednia, w drugim nadać się bardzo dobrze.

ALLELUJA. — Istotnie, tylko elektroliza. Bliższych informacyj może udzielić jedynie lekarz. Prosimy uprzejmie, by wszystkie nasze Czytelniczki zechciały uwzględnić, że wysokości honorarjów lekarskich podawać nie możemy. Trudno przecież telefonować do lekarza z zapytaniem, zwłaszcza gdy nie badał pacjentki. Każdy przypadek jest traktowany indywidualnie, zależnie od rodzaju zmian, od ilości zabiegów, od potrzeby zastosowywania aparatów leczniczych i t. p.

Bezradność w wyborze najwłaściwszego preparatu do usuwania piegów jest wobec dużej ilości dla tych celów zachwalanych środków zupełnie zrozumiałą. A jednak opinje z wielu stron dochodzące, pełne uznania co do szybkiego i nieszkodliwego działania maści i mydła przeciwko piegom, wyrobu Leschnitzer, zasługują na specjalne podkreślenie.

Skład preparatu ma według obecnego stanu wiedzy kosmetycznej przedstawiać optimum i maximum osiągalne, umożliwiające wyraźne i nieszkodliwe rezultaty.

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska**
Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administr.: Lwów, Chorążczyzna 27; Warszawa, Wilcza 3
Telefon administracji: 4-32 Drukarnia Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Tel. 85-16 Telefon redakcji: 48-34

Księgarnia Polska
B. Połonieckiego
we Lwowie, ul. Akademicka 2 a

poleca ostatnie nowości:

GERLING R. Życie miłosne człowieka z uwzględnieniem wszystkich tajemnych chorób i ich zapobiegania. — Tłumaczył Dr A. Klęsk . . . . 7·— zł

HOCHE A. Niebezpieczny wiek mężczyzny. Lata przejściowe. . . . 4·— zł

NIE BOJĘ SIĘ PIEGÓW!

W lecie pośród
słońca toni
Przed piegami lęk
Cię goni —
By się ustrzedz
przeciw temu

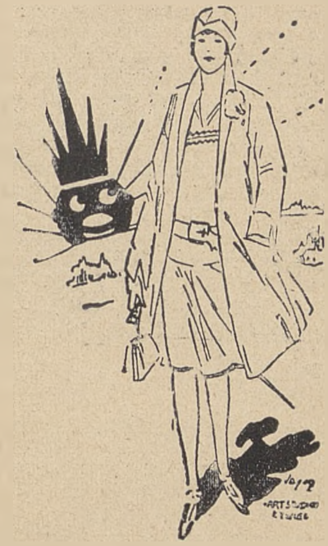
użyj 1078

LESCHNITZERA
KREMU

W apt. i drog. Krem 3·15, mydło 2·30

Gdzie niema, wprost:

Aptekarz DRANCZ i Ska, Bielsko



LABORATORJUM KOSMETYKÓW HIGJENICZNYCH
Dr. J. ŚWITALSKIEJ 1076

WARSZAWA, KRUCZA 31 TEL. 102-77

Wysyła higj. kosmetyki za zaliczeniem, katalogi gratis

Drukarnia Księgarni Polskiej
Bernarda Połonieckiego

we Lwowie, ul. Chorążczyzna l. 27

Telefon 85-16

wykonuje wszelkie druki szybko i solidnie

Jak praktyczna i wygodna,
jaka dobrze odmierzona paczka proszku do pieczenia **Oetkera!**



Wskazówki pieczenia we wszystkich przepisach Dra Oetkera są tak wyraźne, że wykluczają wszelki zawód. Nasze panie gospodynie od wczesnej młodości przyzwyczaiły się do nich i nawet przez myśl im nie przejdzie, by eksperymentować nieznanymi wyrobami.



Dra Oetkera proszek do pieczenia „Backin"

jest właściwym środkiem w użyciu domowem, ponieważ ułatwia niezmiernie pieczenie. Każde pieczywo, sporządzone według przepisów Dra Oetkera, posiada nieskażony, przepiękny i delikatny smak.

Książki „Dra Oetkera recepty" wydanie F (cena 40 gr) oraz „Dra Oetkera książka kucharska" (cena 85 gr) zawierające ważne wskazówki co do wspaniałego aparatu do pieczenia „Cud kuchni", nabyć można we wszystkich składach kolonjalnych. W razie wyczerpania za nadesłaniem należytości w znaczkach pocztowych wprost we firmie

Dr. August Oetker, Oliwa 1077

PANIE UŻYWAJĄCE ŻAKA

KOMIAFLOR KREM, PUDER, MYDŁO, PERFUMY
WYRÓŻNIAJĄ SIĘ DELIKATNĄ CERĄ i POWABEM 1055

WŁASNY WYRÓB

KOŁDRY - MATERACE

Gotowe Prześcieradła	pod kołdry	od zł.	11·50
„ „	na pościel	„ „	5·60
„ Poszewki		„ „	3·—

PŁÓTNA, SZYFONY, OBRUSY, RĘCZNIKI

CENY FABRYCZNE CENNIKI BEZPŁATNIE

KOCE, KAPY, FIRANKI, DYWANY I T. P. — najtaniej sprzedaje

FABRYKA POŚCIELI
A. PIETRUSZEWSKI — M. MLEKO

LWÓW, UL. KORALNICKA L. 6 — TELEFON 37-72

929